Sąd czy agencja: kto naprawdę rządzi państwem?

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł stanowi głęboką analizę napięć ustrojowych w USA, koncentrując się na sporze o prymat między Sądem Najwyższym a tzw. państwem administracyjnym. Autor bada, jak przełomowe orzeczenia, takie jak Dobbs v. Jackson, redefiniują amerykański federalizm i przywracają kompetencje legislaturom stanowym. Tekst rzuca światło na rolę oryginalizmu w interpretacji Konstytucji oraz zagrożenia płynące z technokratycznego zarządzania społeczeństwem przez niewybieralną biurokrację. Poprzez pryzmat Drugiej Poprawki i wolności słowa, czytelnik poznaje fundamenty antropologii politycznej, w której ścierają się wizje autonomicznej jednostki i demokratycznej wspólnoty. To kluczowa lektura dla zrozumienia mechanizmów władzy, legitymacji demokratycznej oraz przyszłości trójpodziału władzy w obliczu nowoczesnych konfliktów moralnych i prawnych.

This article provides a profound analysis of the political tensions in the United States, focusing on the dispute over supremacy between the Supreme Court and the so-called administrative state. The author examines how landmark rulings such as Dobbs v. Jackson redefine American federalism and restore the powers of state legislatures. The text illuminates the role of originalism in interpreting the Constitution and the dangers of technocratic governance of society by unelected bureaucracies. Through the lens of the Second Amendment and freedom of speech, the reader learns the foundations of a political anthropology in which visions of the autonomous individual and the democratic community clash. This is crucial reading for understanding the mechanisms of power, democratic legitimacy, and the future of the separation of powers in the face of modern moral and legal conflicts.

Artykuł stanowi wnikliwą analizę współczesnego kryzysu amerykańskiego konstytucjonalizmu, koncentrując się na napięciu między tradycyjnym podziałem władzy a ekspansją państwa administracyjnego. Autor stawia tezę, że Sąd Najwyższy,

poprzez wyroki takie jak Dobbs czy uchylenie doktryny Chevron, dąży do przywrócenia „czystości ról” i ograniczenia samowoli biurokratycznej. W tekście zarysowano konflikt między dwiema wizjami demokracji: technokratycznym zarządzaniem, które przedkłada efektywność nad legitymację, a republikańską samorządnością, wymagającą od obywateli aktywnego sporu o fundamenty wolności. Autor przekonuje, że współczesna biurokracja, działająca poprzez nieprzejrzyste formularze i algorytmy, stanowi dla wolności zagrożenie równie groźne co jawna tyrania, gdyż budzi nie tyle opór, co paraliżujące poczucie beznadziei. W kontekście polskim rozważania te przeniesiono na grunt zasady incompatibilitas, argumentując, że kumulacja funkcji ustawodawczych i wykonawczych niszczy mechanizmy kontrolne państwa. Artykuł jest wezwaniem do powrotu do prostych zasad konstytucyjnych, w których instytucje są projektowane jako bezpieczniki chroniące republikę przed ambicjami tych, którzy sprawują władzę, przypominając, że wolność nie jest zmienną w arkuszu kalkulacyjnym, lecz efektem świadomego wyboru wspólnoty.

SŁOWA KLUCZOWE

Sąd Najwyższy USA | Dobbs v. Jackson | państwo administracyjne | federalizm | oryginalizm | Druga Poprawka | trójpodział władzy | Konstytucja USA | wolność słowa | legitymacja demokratyczna | precedens | samorządność | biurokracja | antropologia polityczna | regulacje farmaceutyczne

Dobbs: koniec sędziowskiego dekretu czy początek chaosu?

Trzeba wreszcie zejść z bezpiecznych wyżyn czystej teorii na te zakurzone pola, gdzie eleganckie modele ustrojowe wchodzą w brutalne zwarcie z tkanką realnego życia społecznego. Aborcja, druga poprawka, wszechobecne państwo administracyjne czy wolność religijna nie są jedynie osobnymi tematami, które spragniony widowiska publicysta wrzucił do jednego worka. One tworzą jeden, gęsty układ naczyń połączonych, w którym poruszenie jednej dźwigni wywołuje drżenie w najdalszych zakątkach systemu prawnego. Kapitał nie lubi mgły, ale obywatel szukający oparcia w

prawie również nie powinien być na nią skazany. W tym gąszczu przepisów i emocji szukamy fundamentu, który przetrwa kolejny sezon politycznych burz.

W każdym z tych sporów, niczym bumerang, powraca to samo fundamentalne pytanie: kto właściwie ma prawo do ostatniego słowa, gdy surowy tekst Konstytucji zderza się z nowoczesnym konfliktem moralnym, technologicznym czy cywilizacyjnym? Sąd Najwyższy stał się dzisiaj areną, na której Ameryka rozgrywa nie tylko skomplikowane procesy prawne, lecz przede wszystkim głębokie spory o antropologię polityczną. Czy obywatel jest w tym systemie przede wszystkim autonomiczną jednostką, której państwo winno zostawić maksymalną przestrzeń do samookreślenia? A może jest on członkiem wspólnoty stanowej, mającej pełne prawo regulować moralnie drażliwe kwestie poprzez swoich demokratycznie wybranych przedstawicieli? Te pytania o naturę człowieka i wspólnoty stanowią podszewkę każdego sędziowskiego uzasadnienia.

W tle tych rozważań majaczy państwo administracyjne, czyli rozbudowany system agencji i organów regulacyjnych zarządzający złożonymi obszarami życia społecznego, który często rzuca wyzwanie klasycznemu trójpodziałowi władzy. Czy te agencje to profesjonalny mózg nowoczesnego organizmu państwowego, czy raczej niewybieralna biurokracja produkująca prawo bez realnego mandatu społecznego? Czy precedens powinien być dla nas bezpieczną kotwicą stabilizującą system, czy może łańcuchem krępującym ruchy kolejnych pokoleń? Historia bywa źródłem normy, ale bywa też ciężarem, od którego sędzia – w akcie swoistego wyzwolenia – próbuje odciąć teraźniejszość. To nie są akademickie dylematy, lecz realne napięcia, które decydują o kształcie amerykańskiej wolności.

Te pytania wybrzmiewają z niemal ogłuszającą siłą w kontekście aborcji, a sprawa Dobbs v. Jackson stała się swoistym trzęsieniem ziemi, które zburzyło gmach wzniesiony na fundamentach Roe i Casey. W języku zwolenników tego rozstrzygnięcia Dobbs był przede wszystkim aktem konstytucyjnej pokory, w którym Sąd uznał własne ograniczenia. Sędziowie stwierdzili wówczas wprost: Konstytucja nie zawiera prawa do aborcji, a historia i tradycja nie potwierdzają go jako wartości głęboko zakorzenionej w amerykańskim etosie. Sprawa ta, jako fundamentalnie sporna, powinna zatem wrócić tam, gdzie jej miejsce – do rąk demokratycznie odpowiedzialnych władz stanowych.

Zupełnie inaczej widzą to przeciwnicy wyroku, dla których był on drastycznym aktem odebrania nabytych praw, naruszeniem autonomii kobiet i cofnięciem ochrony o historycznej doniosłości. Obie te narracje, choć potężne i emocjonalnie nasycone, rozmijają się, ponieważ nie odpowiadają na to samo pytanie. Jedna strona skupia się na kompetencji organu, druga zaś na społecznym skutku jego decyzji. Nasza teza stawia jednak czystość ról, czyli postulat wyraźnego rozgraniczenia kompetencji osób sprawujących władzę, na pierwszym miejscu. W państwie prawa nawet

najbardziej dramatyczny skutek nie może bowiem sam w sobie wykreować uprawnienia organu, który go nie posiada.

Konserwatywna aprobata dla wyroku w sprawie Dobbs wcale nie musi oznaczać banalizacji ludzkich dramatów związanych z ubóstwem, przemocą czy trudnymi wyborami medycznymi. Przeciwnie, właśnie dlatego, że aborcja jest kwestią tak głęboko obciążoną moralnie, nie powinna być rozstrzygana przez kruchą sędziowską konstrukcję zbudowaną na interpretacyjnych „półcieniach". Im większy spór targa sumieniami narodu, tym większa jest potrzeba legitymacji decyzji, która go dotyczy. Sąd może i powinien chronić prawa zapisane w ustawie zasadniczej, nie powinien jednak zamieniać konstytucyjnego milczenia w ogólnokrajowy dekret.

Po wyroku w sprawie Dobbs Ameryka nie zapadła w stan prawnej ciszy, lecz weszła w fazę fascynującego, choć trudnego federalistycznego wielogłosu. Samorządność, czyli zdolność społeczeństwa do rozstrzygania sporów moralnych poprzez mechanizmy republikańskie, została wystawiona na ciężką próbę. Jedne stany niemal natychmiast przyjęły surowe ograniczenia, inne zaś przekształciły się w bastiony ochrony praw reprodukcyjnych. Spór, zamiast zniknąć, rozlał się na legislatury, referenda, a nawet na prawo farmaceutyczne i przepisy dotyczące podróży transgranicznych. To właśnie oznacza „oddanie sprawy narodowi" w praktyce: nie sielankę zgody, lecz powrót konfliktu do naturalnych kanałów demokratycznych.

Demokracja nie jest świątynią harmonii, jest instytucjonalną metodą niezgody. Jej sens polega na tym, że fundamentalny spór nie musi zostać natychmiast i ostatecznie zamknięty przez pięć głosów w sędziowskich togach. Współczesny rozwój wypadków pokazuje jednak, że federalizm aborcyjny jest w praktyce znacznie trudniejszy niż elegancka formuła wyroku. Pojawiają się ostre tarcia między prawem stanowym a federalnymi standardami medycyny ratunkowej oraz konflikty między prokuratorami a wolnością słowa organizacji społecznych. Tyrania budzi opór, ale biurokratyczny chaos budzi zmęczenie, którego nowoczesne państwo powinno unikać.

W 2024 roku Sąd Najwyższy, zajmując się kwestią mifepristonu, nie rozstrzygnął samej istoty regulacji leku, lecz uznał, że powodowie nie posiadali legitymacji procesowej do podważania działań FDA. Oznaczało to utrzymanie status quo, ale bynajmniej nie zamknęło dyskusji o granicach federalnej regulacji farmaceutycznej w świecie po Dobbs. Z kolei w 2026 roku Sąd jednomyślnie pozwolił chrześcijańskiej organizacji First Choice Women's Resource Centers na prowadzenie sporu przeciwko stanowemu wezwaniu śledczemu. Akcentując proceduralną możliwość obrony praw z pierwszej poprawki, sędziowie pokazali, że Dobbs nie tyle „rozwiązał" problem, co usunął z niego fałszywą centralizację. Prawdziwa polityka wróciła do obywateli, a wraz z nią cała odpowiedzialność za jej kształt.

Sąd jako arbiter wolności: między prawem a administracją

Konflikt powrócił do zwykłych, brudnych i wielowarstwowych mechanizmów republiki, co może wyglądać mniej estetycznie niż pojedynczy wyrok Sądu, ale jest znacznie bardziej zgodne z logiką samorządności. Demokracja nie jest świątynią harmonii, lecz instytucjonalną metodą niezgody, w której ścierające się racje rzadko znajdują ukojenie w sterylnych salach sądowych. Sąd nie został powołany do tego, by czynić społeczeństwo moralnie spójnym monolitem, lecz by pilnować, czy poszczególne organy działają w granicach swoich kompetencji. Amerykanie mogą i będą się ostro spierać o aborcję, niemniej nie powinni udawać, że Konstytucja zawiera gotową odpowiedź na każdy poziom tego egzystencjalnego sporu. Z tej perspektywy sprawa Roe była nie tylko błędem prawnym, lecz przede wszystkim błędem socjologicznym, który zignorował naturalną dynamikę społecznego ścierania się postaw.

Wyrok ten, wbrew intencjom sędziów, wcale nie zakończył konfliktu, lecz uczynił aborcję centralnym, pulsującym symbolem wojny kulturowej, która podzieliła naród na dekady. Przekształcił on nominacje sędziowskie w swoiste plebiscyty moralne, wypychając jednocześnie trudne kompromisy stanowe z naturalnej dla nich przestrzeni politycznych negocjacji. To właśnie miała na myśli Ruth Bader Ginsburg, gdy krytykowała gwałtowność Roe, zauważając, że Sąd brutalnie zatrzymał proces reform rozwijający się organicznie w poszczególnych stanach. Nadano w ten sposób sporowi charakter prawno-absolutny, co w praktyce oznacza, że gdy kompromis zostaje zastąpiony sztywnym prawem konstytucyjnym, przeciwnik przestaje być partnerem. Staje się on kimś, kto „łamie prawa”, a taki język nieuchronnie podnosi temperaturę debaty i drastycznie obniża zdolność republiki do racjonalnej rozmowy.

Analogicznie należy odczytywać narastające spory o Drugą Poprawkę, gdzie trylogia spraw Heller, McDonald i Bruen wyznaczyła nowy, kontrowersyjny kierunek interpretacyjny. Heller odrzucił wieloletnie próby redukowania Drugiej Poprawki do prawa kolektywnego związanego wyłącznie z milicją, potwierdzając tym samym indywidualne prawo do posiadania broni w celu samoobrony. McDonald poszedł o krok dalej, stosując to prawo wobec poszczególnych stanów poprzez mechanizm XIV Poprawki, co ujednoliciło standardy ochrony wolności osobistej w całym kraju. Bruen z kolei rozszerzył tę ochronę na noszenie broni w przestrzeni publicznej, odrzucając nowojorski model, w którym obywatel musiał wykazać „szczególną potrzebę”, by skorzystać z prawa. To ostatnie rozstrzygnięcie jest fundamentalne, gdyż prawo konstytucyjne nie może być przekształcone w przywilej przyznawany przez urzędnika po subiektywnej ocenie zasług obywatela.

W sprawie Bruen Sąd przyjął metodę opartą na tekście, historii i tradycji, co ma stanowić tamę dla sędziowskiej pokusy ważenia interesów politycznych pod płaszczykiem prawa. Nie wystarczy już, że państwo ogólnikowo powoła się na ważny interes bezpieczeństwa publicznego, bowiem państwo zawsze znajduje jakiś „ważny interes", zwłaszcza gdy pragnie rozszerzyć swoją władzę. Pytanie brzmi raczej, czy dana regulacja jest zgodna z historycznym rozumieniem i tradycją ograniczania konkretnego prawa, co stanowi bezpiecznik przed biurokratyczną samowolą. Ta metoda ma ograniczyć sędziowskie ważenie interesów, które zbyt łatwo zamienia twarde prawo konstytucyjne w płynne dobro podlegające doraźnej, administracyjnej optymalizacji. Wolność nie jest zmienną w arkuszu kalkulacyjnym i nie da się jej po prostu zrównoważyć z wygodą regulatora, który szuka najkrótszej drogi do celu.

Jednocześnie sprawa Rahimi z 2024 roku dobitnie pokazała, że metoda historyczna wcale nie musi prowadzić do ślepego absolutyzmu, jak sugerowali niektórzy krytycy oryginalizmu. Sąd utrzymał zakaz posiadania broni przez osoby objęte nakazami ochronnymi, gdy uznano je za wiarygodne i realne zagrożenie dla bezpieczeństwa innych współobywateli. Większość sędziów słusznie wskazała, że tradycja amerykańska od zarania znała regulacje pozwalające rozbrajać osoby niebezpieczne, co czyni takie ograniczenie spójnym z duchem ustawy zasadniczej. Druga Poprawka nie chroni zatem prawa do bycia uzbrojonym zagrożeniem dla domowników czy lokalnej wspólnoty, co przywraca debacie niezbędny element zdrowego rozsądku. To orzeczenie jest metodologicznie istotne, ponieważ oddziela rzetelny oryginalizm od jego medialnej karykatury, często serwowanej w publicystycznych uproszczeniach.

Oryginalizm nie nakazuje nam bezmyślnego kopiowania realiów XVIII wieku, lecz każe szukać historycznych analogii i tradycji regulacyjnej, która skutecznie ogranicza władzę współczesnego państwa. Prawo do broni staje się przy tym świetnym testem dla selektywnej wrażliwości elit, które z pasją bronią praw niewymienionych w tekście, a relatywizują te zapisane wprost. Nie oznacza to oczywiście, że każda regulacja dotycząca broni jest a priori niekonstytucyjna, niemniej nie wolno traktować Drugiej Poprawki jak gorszego kuzyna Karty Praw. Clarence Thomas w Bruen trafnie punktował, że prawo to nie jest kategorią drugiej klasy, którą zaprasza się na rodzinne spotkanie tylko z powodu uciążliwej formalności. Jeśli Konstytucja zawiera konkretne gwarancje, sędzia nie posiada mandatu do tworzenia hierarchii sympatii, w której niektórym wolnościom stawia się ołtarze, a innym płotki.

Tu właśnie wyłania się głęboka warstwa antropologiczna, gdyż Druga Poprawka wyrasta z fundamentalnej nieufności wobec nadmiernej koncentracji przemocy w rękach aparatu państwowego. Nowoczesne europejskie myślenie często traktuje monopol państwa na przemoc jako absolutny warunek cywilizacji, zapominając o ryzyku, jakie niesie ze sobą bezbronność jednostki.

Amerykańska tradycja republikańska mówi jednak wyraźnie: monopol przemocy bywa warunkiem porządku, ale równie często staje się narzędziem dominacji i politycznego ucisku. Obywatel uzbrojony nie jest w tym ujęciu jedynie posiadaczem niebezpiecznego przedmiotu, lecz żywym symbolem politycznej podejrzliwości wobec każdej władzy, która mogłaby nadużyć zaufania. Można tę podejrzliwość uważać za kosztowną lub społecznie ryzykowną, ale nie da się zrozumieć amerykańskiego ustroju bez uwzględnienia tej specyficznej, republikańskiej psychologii.

Z perspektywy ekonomicznej spór o broń jawi się jako konflikt dwóch odmiennych modeli zarządzania ryzykiem, z których każdy akcentuje inne zagrożenia dla dobrobytu. Model regulacyjny kładzie nacisk na koszty zewnętrzne, takie jak przemoc, tragiczne wypadki czy obciążenie systemu ochrony zdrowia, dążąc do ich minimalizacji poprzez zakazy. Z kolei model wolnościowy akcentuje ryzyko asymetrii, czyli bezbronność wobec przestępcy oraz całkowitą zależność od reakcji państwa w sytuacjach skrajnego zagrożenia. Sąd konstytucyjny nie powinien udawać, że te koszty nie istnieją, niemniej nie może też rozstrzygać o prawach podstawowych wyłącznie przez pryzmat chłodnej analizy kosztów i korzyści. Konstytucja często chroni bowiem to, co w krótkim terminie bywa kosztowne, uznając, że cena wolności jest warta zapłacenia w imię wyższych wartości.

Wolność słowa generuje dezinformację i bolesne konflikty, a wolność religijna nieustannie ściera się z nowoczesną polityką równościową, tworząc napięcia trudne do rozładowania. Podobnie prawo do rzetelnej obrony w procesie karnym utrudnia szybkie skazywanie winnych, co dla zwolenników czystej sprawności administracyjnej może wydawać się irytującą przeszkodą. Wolność nigdy nie jest darmowa, a państwo, które obiecuje ją bez żadnych kosztów, zwykle przygotowuje ukrytą fakturę w postaci totalnej kontroli nad życiem obywateli. Trzecim polem tej wielkiej bitwy ustrojowej jest państwo administracyjne, czyli owa „czwarta gałąź władzy", wyrosła z progresywnej niecierpliwości wobec klasycznego, powolnego trójpodziału. Samorządność, czyli zdolność społeczeństwa do rozstrzygania sporów poprzez mechanizmy republikańskie, zostaje tu zastąpiona przez technokratyczne zarządzanie, które przedkłada efektywność nad legitymizację.

Państwo administracyjne, czyli rozbudowany system agencji zarządzający złożonymi obszarami życia, stanowi wyzwanie dla tradycyjnego pojmowania demokracji, gdzie decyzje podejmują wybrani przedstawiciele. Woodrow Wilson i późniejsi progresywiści wierzyli, że nowoczesne społeczeństwo wymaga zarządzania przez bezstronnych ekspertów, ponieważ Kongres jest zbyt powolny, polityczny i technicznie niekompetentny. Agencje miały być szybkie, profesjonalne i zdolne do ciągłej adaptacji, co w teorii brzmiało jak obietnica sprawnego państwa na miarę XX wieku. Jest to klasyczny argument sprawności, niemniej konstytucjonalizm nie zaczyna się od pytania o to, co jest skuteczne, lecz od pytania o to, co jest uprawnione. Tyran budzi opór, ale

formularz budzi jedynie zmęczenie, co czyni biurokratyczną dominację znacznie trudniejszą do zidentyfikowania i skutecznego zakwestionowania przez obywatela.

New Deal był tym przełomowym momentem, w którym argument sprawności ostatecznie pokonał znaczną część dawnego, konstytucyjnego sceptycyzmu wobec rozrostu władzy centralnej. Sąd Najwyższy, początkowo blokujący programy Roosevelta, po dramatycznym kryzysie wokół próby zwiększenia liczby sędziów, gwałtownie zmienił swój dotychczasowy kurs orzeczniczy. Sprawy takie jak NLRB v. Jones & Laughlin Steel otworzyły szeroką drogę do regulacji federalnej, czyniąc z klauzul handlowych fundament nowoczesnego państwa regulacyjnego. Nie trzeba tu popadać w naiwną nostalgię za światem, który minął, gdyż Wielki Kryzys był realnym wyzwaniem wymagającym nowych, potężnych narzędzi interwencji. Należy jednak pamiętać, że każde narzędzie zostawia trwały ślad na dłoni, która go używa, zmieniając nieodwracalnie charakter samej władzy i jej relację z jednostką.

Rozrost administracji radykalnie zmienił równowagę między Kongresem, prezydentem a sądami, tworząc strukturę, w której realna władza ustawodawcza wyciekła z rąk parlamentarzystów. Współczesny Sąd pod przewodnictwem Johna Robertsa rozpoczął jednak proces systematycznego ograniczania tej struktury, przywracając znaczenie klasycznym regułom odpowiedzialności politycznej. W sprawie West Virginia v. EPA zastosowano doktrynę głównych pytań, czyli zasadę wymagającą, by agencje posiadały wyraźne upoważnienie ustawowe przy podejmowaniu decyzji o wielkim znaczeniu gospodarczym. Chodzi o to, by przywrócić czystość ról, czyli postulat wyraźnego rozgraniczenia kompetencji osób sprawujących władzę, co jest warunkiem zaufania obywateli do państwa. Bez tego mechanizmu prawo staje się jedynie narzędziem w rękach ekspertów, a demokracja zamienia się w fasadę dla technokratycznych decyzji podejmowanych poza kontrolą społeczną.

Wielki reset: Sąd Najwyższy kontra państwo administracyjne

Sąd Najwyższy przestał wierzyć w sztuczki magiczne i uznał, że nie można wyczarować potężnej kompetencji regulacyjnej z drobnego, technicznego zapisu ustawy, niczym prestidigitator wyciągający królika z kapelusza. Przełomowy wyrok w sprawie Loper Bright z 2024 roku ostatecznie uchylił tak zwaną doktrynę Chevron, czyli zasadę prawną nakazującą sądom przyjmowanie interpretacji niejasnych przepisów dokonywanych przez agencje rządowe. Sędziowie podkreślili z całą stanowczością, że to właśnie sądy mają wyłączną kompetencję do mówienia, czym jest prawo, nawet jeśli urzędnicy dysponują armią ekspertów od faktów i polityki regulacyjnej.

Wiedza techniczna nie może bowiem zastępować wykładni prawnej, a niejasność ustawy nie jest zaproszeniem do samowoli urzędniczej. To fundamentalna zmiana, która odbiera agencjom ich dotychczasowe, niemal sakralne uprzywilejowanie w procesie interpretacyjnym.

Z kolei wyrok w sprawie SEC v. Jarkesy znacząco wzmocnił gwarancje proceduralne jednostki w starciu z biurokratycznym aparatem, uznając prawo do ławy przysięgłych w sprawach o kary cywilne nakładane przez komisję giełd. Te rozstrzygnięcia nie są jedynie przypadkowymi epizodami w historii amerykańskiego sądownictwa, lecz tworzą spójny, antyadministracyjny wzór orzeczniczy o głębokim znaczeniu ustrojowym. Jego logika jest bezlitosna: agencje nie są Kongresem, nie są sądami i nie mogą traktować ustawowych niejasności jako paliwa do rozszerzania własnej władzy. Jeżeli decyzja ma charakter fundamentalny dla państwa, niech podejmie ją Kongres w drodze ustawy. Jeżeli spór dotyczy interpretacji litery prawa, niech rozstrzygnie go niezawisły sąd.

W sytuacjach, gdy państwo nakłada sankcje o charakterze prawnokarnym lub quasi-karnym, obywatel musi otrzymać tradycyjne gwarancje procesowe, a nie ich administracyjną protezę. Takie podejście nie jest wyrazem anarchizmu deregulacyjnego, lecz próbą ponownego ustawienia pionów na konstytucyjnej szachownicy, która przez dekady ulegała deformacji. Krytycy tych zmian podnoszą jednak alarm, twierdząc, że Sąd systematycznie demontuje zdolność państwa do skutecznego działania w nowoczesnym świecie. W rzeczywistości zdominowanej przez kryzys klimatyczny, platformy cyfrowe, globalną bankowość, biotechnologię i sztuczną inteligencję, tradycyjny proces ustawodawczy wydaje się beznadziejnie powolny. Jeśli każda istotna decyzja będzie wymagać wyraźnej i precyzyjnej ustawy, nowoczesne państwo może zostać sparaliżowane przez własne procedury.

Argument ten ma ogromny ciężar praktyczny i nie można go zbyć lekceważącym wzruszeniem ramion w imię doktrynalnej czystości. Jeśli sądy przestaną być deferencyjne wobec agencji, tysiące technicznych regulacji utknie w niekończących się sporach prawnych przed sędziami, którzy nie zawsze rozumieją niuanse inżynierii finansowej czy biologii molekularnej. Ograniczenie kompetencji administracyjnych trybunałów sprawi, że egzekwowanie prawa stanie się procesem wolniejszym, droższym i znacznie mniej przewidywalnym dla wszystkich uczestników rynku. Niemniej jednak, odpowiedź źródłowa na te obawy pozostaje republikańsko bezlitosna: niezdolność Kongresu do sprawnego działania nie może legalizować cichego przeniesienia ustawodawstwa do agencji. Jeśli demokracja okazuje się niewydolna, należy naprawić mechanizmy demokratyczne, a nie zastępować je technokratycznym objazdem.

W tym sporze warto odwołać się do ekonomii instytucjonalnej, która uczy nas, że każda instytucja działa w ramach konkretnego systemu bodźców. Kongres, kierowany bodźcem wyborczym, ma naturalną tendencję do unikania odpowiedzialności za trudne decyzje, chętnie cedując je na

bezimienne agencje. Te z kolei, dążąc do ekspansji własnych kompetencji, traktują każdą niejasność prawną jako okazję do zwiększenia swojego znaczenia, budżetu oraz prestiżu. Prezydent natomiast, widząc podzielony parlament, chętnie wykorzystuje administrację jako taran do forsowania własnej agendy politycznej bez oglądania się na proces ustawodawczy. W takim układzie sił sądy mają naturalny bodziec do podtrzymywania własnej roli jako arbitra ostatecznego, co chroni system przed dominacją jednej gałęzi władzy.

Konstytucyjny podział władz to w gruncie rzeczy genialna teoria bodźców sformułowana na długo przed powstaniem nowoczesnej ekonomii politycznej. Ojcowie Założyciele doskonale rozumieli, że w zdrowym systemie ambicja musi być zawsze powstrzymywana przez inną ambicję, by żadna siła nie stała się absolutna. Czystość ról, czyli postulat wyraźnego rozgraniczenia kompetencji i funkcji osób sprawujących władzę, jest warunkiem koniecznym zaufania obywateli do państwa. Gdy jedna agencja łączy w sobie pisanie reguł, ich egzekucję oraz rozstrzyganie sporów, owa ambicja zaczyna powstrzymywać głównie obywatela, a nie inne organy władzy. Incompatibilitas, czyli konstytucyjna zasada niepołączalności mandatu parlamentarnego z określonymi funkcjami publicznymi, służy właśnie ochronie tej fundamentalnej przejrzystości ról.

Państwo administracyjne ma jednak jeszcze jeden wymiar, który można określić mianem antropologicznego, a który dotyka samej tkanki społecznej. Biurokracja ma to do siebie, że zmienia naturę relacji międzyludzkich, przekształcając obywatela w petenta, a przedsiębiorcę w obiekt nieustającej weryfikacji zgodności. Jej język, pełen miękkich terminów takich jak standardy, optymalizacja czy interes publiczny, maskuje twardą naturę władzy, która rzadko przybiera formę brutalnej tyranii. Władza administracyjna woli bowiem formę formularza, który nie budzi gwałtownego buntu, lecz powolne, obezwładniające zmęczenie materiału. Tyran budzi opór. Formularz budzi zmęczenie. I właśnie dlatego biurokracja jest kulturowo tak skuteczna w przejmowaniu kolejnych obszarów ludzkiej wolności.

Z perspektywy prawnika-ekonomisty kluczową kwestią pozostaje problem niepewności regulacyjnej, która jest zabójcza dla długofalowego planowania. Gdy agencje mogą swobodnie zmieniać interpretacje przepisów wraz z każdą zmianą administracji prezydenckiej, przedsiębiorstwa i obywatele działają w środowisku skrajnie niestabilnym. Uchylenie doktryny Chevron może początkowo zwiększyć liczbę sporów sądowych, ale w dłuższej perspektywie zmusi Kongres do większej precyzji ustawodawczej. A precyzja ta, choć bywa nudna jak dobrze prowadzona księga rachunkowa, jest jednym z fundamentalnych warunków wolności gospodarczej i pewności obrotu. Kapitał nie lubi mgły. Obywatel również nie powinien jej akceptować w relacjach z własnym państwem.

Wolność religijna stanowi kolejne pole, na którym Sąd Robertsa zdecydowanie przesunął akcenty, odrzucając dotychczasowe, mętne konstrukcje doktrynalne. Przez dekady amerykańska jurysprudencja była zdominowana przez test Lemon, który sędzia Scalia trafnie porównał do ghula z horroru, powracającego z grobu w najmniej oczekiwanych momentach. To porównanie oddawało frustrację wobec doktryny, która była niestabilna i często służyła do wypychania religii z przestrzeni publicznej pod fałszywym hasłem neutralności. Konserwatywny zwrot polega na uznaniu, że neutralność państwa nie może oznaczać wrogości wobec wierzących ani ich dyskryminacji. Państwo nie musi promować żadnej religii, ale nie może też karać za religijny charakter działalności, jeśli podobne aktywności świeckie traktuje w sposób korzystniejszy.

Pandemia COVID-19 pokazała w sposób brutalny praktyczne znaczenie tego rozróżnienia dla codziennego życia milionów ludzi. Jeżeli państwo pozwala na funkcjonowanie marketów budowlanych, ale surowiej traktuje zgromadzenia religijne, musi wykazać niezwykle mocne i obiektywne uzasadnienie dla takiej segregacji. Wolność religijna nie jest bowiem weekendowym hobby, które można zawiesić łatwiej niż dział z elektroniką w supermarkecie, gdy tylko pojawi się kryzys. Realność zagrożenia zdrowotnego nie znosi konstytucyjnego obowiązku równego traktowania, o czym Sąd przypomniał w kilku głośnych sprawach pandemicznych. Prawa podstawowe nie stają się mniej istotne tylko dlatego, że administracja ma akurat trudny tydzień i szuka najprostszych rozwiązań.

Wolność słowa w erze cyfrowej to pole bitwy, które dopiero ujawnia pełną skalę konfliktu między starą konstytucją a nową technologią. Platformy społecznościowe, choć formalnie prywatne, pełnią dziś funkcję kluczowej infrastruktury komunikacyjnej, bez której debata publiczna praktycznie nie istnieje. Pojawia się tu problem tak zwanego przymusu nieformalnego, czyli sytuacji, w której państwo naciska na podmioty prywatne, by te realizowały cele regulacyjne bez wydawania formalnych zakazów. Obywatel wypowiada się w przestrzeni, która jest zarazem prywatnym produktem, rynkiem uwagi oraz quasi-publicznym forum o globalnym zasięgu. Samorządność wymaga, by te spory rozstrzygać w oparciu o zasady republikańskie, a nie tylko poprzez algorytmiczne filtry czy arbitralne decyzje moderatorów.

Oryginalizm musi w tym kontekście wykazać się zdolnością do stosowania osiemnastowiecznych zasad do mediów, których Ojcowie Założyciele nie mogli sobie nawet wyobrazić. Twitter nie jest karczmą z 1791 roku, ale problem władzy nad ludzką wypowiedzią pozostaje identyczny od stuleci. Demokracja nie jest świątynią harmonii, lecz instytucjonalną metodą niezgody, która wymaga wolnej i nieskrępowanej wymiany myśli, nawet tych kontrowersyjnych. Wolność nie jest zmienną w arkuszu kalkulacyjnym, którą można dowolnie optymalizować w zależności od bieżących potrzeb politycznych czy nastrojów społecznych. Smartfon może mieć wiele aplikacji naraz, ale państwo

konstytucyjne nie powinno pozwalać sobie na jednoczesne stosowanie sprzecznych ze sobą standardów wolności.

Kombajn ustrojowy: jak państwo administracyjne pożera wolność

W tle współczesnych sporów o granice władzy coraz wyraźniej majaczy widmo przymusu nieformalnego, czyli praktyki polegającej na wywieraniu nacisków na podmioty prywatne bez użycia twardych narzędzi legislacyjnych. Państwo nie musi przecież wydawać formalnego zakazu, by skutecznie kneblować usta niepokornym, gdyż wystarczy, że zacznie sugerować, koordynować komunikację z platformami cyfrowymi lub grozić nowymi regulacjami. To specyficzna, na wskroś nowoczesna odmiana władzy, która jest jednocześnie aksamitnie miękka w formie i bezlitośnie twarda w swoich skutkach. Dla konstytucjonalisty kluczowe pytanie brzmi: w którym momencie perswazja administracji staje się cynicznym obejściem Pierwszej Poprawki? Jeżeli państwo nie posiada legitymacji, by czegoś zakazać bezpośrednio, nie powinno osiągać tego samego celu poprzez „życzliwe rekomendacje" kierowane do korporacji zależnych od kaprysu regulatora. Władza, która szepcze do ucha gigantom technologicznym, by obywatel w końcu zamilkł, wciąż pozostaje władzą, nawet jeśli nie nosi munduru.

To prowadzi nas do wspólnego mianownika dzisiejszych kryzysów, ponieważ współczesne panowanie coraz rzadziej objawia się poprzez jeden, czytelny i widoczny akt woli suwerena. Dzisiejsza władza działa raczej przez rozproszone sieci, tworząc skomplikowany ekosystem nacisków, w którym uczestniczą agencje, sądy, platformy, organizacje pozarządowe oraz uniwersytety. Klasyczny trójpodział władzy był projektowany dla instytucji, które można było precyzyjnie nazwać, oddzielić od siebie i poddać wzajemnej kontroli w świetle dnia. Obecnie mamy do czynienia z płynnymi przepływami wpływu, gdzie kapitał regulacyjny miesza się z interesem politycznym i prestiżem eksperckim. W takim układzie tradycyjne mapy drogowe konstytucjonalizmu stają się nieczytelne, a obywatel czuje się zagubiony w labiryncie wpływów, których nie potrafi nawet zidentyfikować. Tyran budzi opór, ale formularz i algorytm budzą jedynie narastające zmęczenie.

Dlatego właśnie dzisiaj, bardziej niż kiedykolwiek, potrzebujemy powrotu do brutalnie prostych pytań o kompetencję i odpowiedzialność za podejmowane decyzje. Kto konkretnie zdecydował o ograniczeniu naszych swobód, na jakiej podstawie prawnej to uczynił i czy istnieje realna procedura odwołania tej osoby? Czy obywatel, uwikłany w sieć biurokratycznych zależności, w ogóle wie, w którym miejscu powinien zacząć budować swoją linię obrony? Bez jasnych odpowiedzi na te

pytania, konstytucjonalizm szybko stanie się jedynie estetyczną dekoracją dla faktycznej władzy sieciowej, pozbawionej twarzy i sumienia. Właśnie dlatego instytucja judicial review, czyli prawo sądów do badania konstytucyjności aktów prawnych, pozostaje absolutnie konieczna mimo narastającej krytyki sędziowskiej supremacji. Sąd musi posiadać realną możliwość zatrzymania administracji, Kongresu czy prezydenta, gdy ci przekraczają swoje wyznaczone granice.

Należy jednak pamiętać, że Sąd powinien czynić to wyłącznie w imię tekstu i struktury ustawy zasadniczej, a nie w imię własnej wizji lepszego, sprawiedliwszego społeczeństwa. Dobry Sąd Najwyższy przypomina w swoim działaniu strażnika śluzy, który nie projektuje rzeki, nie buduje miast na jej brzegu ani nie pisze hymnów dla żeglarzy. Jego jedynym i najważniejszym zadaniem jest pilnowanie, by ciśnienie napierającej władzy nie rozerwało misternie skonstruowanej tamy, która chroni republikę przed zalaniem. Gdy jednak strażnik śluzy zaczyna samodzielnie decydować, w którą stronę ma płynąć rzeka historii, staje się de facto ministrem hydrologii politycznej. Brzmi to może zabawnie w teorii, ale przestaje być żartem w momencie, gdy radosna twórczość sędziowska zaczyna zatapiać fundamenty wolności.

Rola precedensu w tym skomplikowanym układzie jest funkcją zbiorowej pamięci oraz niezbędnego hamulca bezpieczeństwa dla zbyt gwałtownych zmian. Sprawa Marbury v. Madison pozostaje precedensem założycielskim dla kontroli konstytucyjności, choć jej tekstowa podstawa do dziś budzi liczne spory wśród prawników. Z kolei McCulloch v. Maryland utrwalił szeroką interpretację kompetencji federalnych, co z perspektywy zwolenników ograniczonego rządu otworzyło drzwi do niebezpiecznej ekspansji państwa. Nie wolno też zapominać o Dred Scott, precedensie hańby, którego lekcja uczy nas, że Sąd nie może rozstrzygać wielkich konfliktów moralnych za pomocą fałszywej historii. Każdy z tych wyroków jest cegłą w gmachu amerykańskiej tożsamości, ale nie każda z tych cegieł została wypalona z równie trwałego i szlachetnego materiału.

Historia orzecznictwa to także przestroga zawarta w sprawie Lochner, przypominająca, że sędziowie mają skłonność do konstytucjonalizowania własnych preferencji ekonomicznych pod płaszczykiem prawa. Przełomowy wyrok w sprawie Brown v. Board of Education pokazał natomiast konieczność odrzucenia błędnego precedensu w imię fundamentalnej zasady równej ochrony wszystkich obywateli. Dla wielu krytyków sprawa Roe v. Wade była przykładem sędziowskiego fiatu, czyli arbitralnej decyzji podjętej bez wyraźnego umocowania w tekście Konstytucji, co próbował odwrócić niedawny wyrok Dobbs. Współczesne orzeczenia, takie jak Heller, McDonald czy Bruen, tworzą zupełnie nowy korpus interpretacyjny Drugiej Poprawki, przywracając jej należne miejsce w hierarchii praw. Jednocześnie sprawy West Virginia v. EPA czy Loper Bright wyznaczają nowy etap walki z państwem administracyjnym, ograniczając samowolę agencji rządowych.

W tym kontekście kluczowa staje się doktryna Chevron, czyli zasada nakazująca sądom przyjmowanie interpretacji niejasnych przepisów dokonywanych przez same agencje rządowe. Jej niedawne uchylenie przez Sąd Najwyższy przywraca sędziom wyłączną kompetencję do mówienia, czym jest prawo, co stanowi potężny cios w fundamenty państwa administracyjnego. Nie wolno jednak zapominać, że każda nowa linia orzecznicza sama może stać się w przyszłości przedmiotem zażartego sporu o moc precedensu. Dzisiejsza konserwatywna restauracja może się okazać jutrzejszą doktryną, której trzeba będzie bronić przed kolejną falą progresywnego aktywizmu. Dlatego obecna większość nie powinna traktować własnych zwycięstw jako nietykalnych dogmatów tylko dlatego, że w tej chwili sprzyjają one jej wizji świata.

Jeżeli przyjmiemy zasadę, że błędny precedens należy uchylić, to reguła ta musi dotyczyć wszystkich stron sporu bez żadnych wyjątków. Oryginalizm, jako metoda interpretacji, musi być gotowy na surową kontrolę własnych rezultatów, inaczej stanie się dokładnie tym, co tak zaciekle krytykuje: polityką przebraną w dostojny strój metodologii. Z perspektywy kulturoznawcy należy dodać, że amerykański Sąd Najwyższy jest nie tylko instytucją prawną, ale przede wszystkim potężną instytucją mitu. Marmurowe kolumny, czarne togi, archaiczne formuły i rytuał ogłaszania opinii tworzą aurę ponadpolityczności, która ma budzić szacunek i zaufanie. Jednak ten wspaniały mit może również służyć do ukrywania nagiej władzy przed wzrokiem obywateli, którzy wierzą w bezstronność sędziowskiej wyroczni.

Społeczeństwa nowoczesne lubią karmić się złudzeniem, że ich najważniejsze decyzje zapadają w sposób czysto racjonalny, a nie rytualny. Tymczasem Sąd Najwyższy jest w istocie racjonalno-rytualną maszyną legitymizacji, której język nadaje konfliktom cywilizowaną formę, ale nigdy nie usuwa ich politycznej substancji. Dlatego zdrowa republika powinna szanować Sąd, ale jednocześnie wystrzegać się bałwochwalczego kultu tej instytucji, gdyż kult zawsze zwiastuje początek zepsucia. Instytucje najbardziej na świecie potrzebują obywateli, którzy potrafią powiedzieć: jesteś dla nas ważna, ale nie jesteś i nigdy nie będziesz święta. W tym miejscu warto przywołać postać Abrahama Lincolna, którego myśl stanowi fundament republikańskiego oporu wobec sędziowskiej supremacji.

Ostrzeżenie Lincolna przed narodem, który przestaje być własnym rządcą, jest najważniejszym kontrapunktem dla tych, którzy w wyrokach sądowych widzą ostateczne rozwiązanie wszelkich bolączek. Lincoln nie negował prawa sądu do rozstrzygania konkretnych spraw, ale stanowczo odrzucał pogląd, że jedna decyzja w żywotnej kwestii moralnej ma wiązać cały naród na wieki. To rozróżnienie jest subtelne, lecz zasadnicze dla przetrwania wolnego społeczeństwa, ponieważ wyrok rozstrzyga spór prawny, ale nie musi zamykać sumienia wspólnoty. Jeżeli Sąd myli się w sprawie fundamentalnej, naród ma pełne prawo kontestować taką decyzję, wybierać nowych przedstawicieli

i dążyć do zmiany prawa. Nie jest to bynajmniej wezwanie do anarchii, lecz przypomnienie, że konstytucja żyje przede wszystkim w kulturze politycznej obywateli, a nie tylko w sejfach sądowych archiwów.

Jeśli obywatele oddadzą całą odpowiedzialność za państwo w ręce sędziów, szybko staną się jedynie klientami własnej republiki, a nie jej dumnymi współtwórcami. Klient zazwyczaj oczekuje sprawnej usługi i świętego spokoju, podczas gdy obywatel ma obowiązek aktywnego współtworzenia porządku publicznego. Postępująca jurydyzacja życia społecznego zamienia nas w petentów konstytucyjnych kancelarii, którzy zamiast rozmawiać ze sobą, wolą pozywać się nawzajem przed oblicze wysokiego sądu. Oryginalistyczna restauracja, jeśli ma być traktowana poważnie, musi więc nie tylko ograniczyć samowolę Sądu, ale przede wszystkim przywrócić obywatelom trudny obowiązek sporu politycznego. Wolność nie polega na tym, że wynajęty prawnik wygra za nas historię, lecz na tym, że musimy przekonać do swoich racji innych ludzi, z którymi dzielimy to państwo.

Dygresja ta może zabrzmieć przewrotnie, ale największym problemem Sądu Najwyższego wcale nie jest to, że stał się on zbyt polityczny w swoim działaniu. Prawdziwym dramatem jest fakt, że sami Amerykanie chcą, by Sąd był polityczny, gdy sprzyja ich stronie, i domagają się apolityczności, gdy wyrok idzie po myśli przeciwników. To dwulicowość o charakterze ponadpartyjnym, prawdziwie narodowa i niemal konstytucyjnie egalitarna w swojej powszechności. Każdy z nas kocha powściągliwość sędziowską u swoich ideowych wrogów, ale jednocześnie uwielbia aktywizm, gdy ten promuje wyznawane przez nas wartości. Demokracja nie jest świątynią harmonii, lecz instytucjonalną metodą niezgody, o czym zapominamy za każdym razem, gdy przegrywamy głosowanie lub proces.

Każdy deklaruje szacunek dla precedensu, dopóki ten nie zaczyna blokować jego autorskiego projektu przebudowy świata na lepsze. Dlatego właśnie metoda interpretacyjna jest nieskończenie ważniejsza niż chwilowa emocja towarzysząca konkretnemu rozstrzygnięciu. Metoda jest tym, co pozostaje na placu boju, gdy nasze osobiste preferencje sromotnie przegrywają w starciu z twardą literą prawa. Jeśli nie potrafimy uszanować reguł gry wtedy, gdy wynik nas boli, to znaczy, że nie posiadamy żadnej poważnej filozofii prawa, a jedynie uprawiamy kibicowanie w todze. Współczesny Sąd Najwyższy stoi przed zadaniem karkołomnym: musi ograniczać państwo administracyjne, nie stając się przy tym administracją negatywną, która paraliżuje sprawne funkcjonowanie państwa.

Sędziowie muszą bronić Drugiej Poprawki, nie zmieniając jej jednocześnie w absolutystyczny fetysz, oraz respektować wyrok w sprawie Dobbs, nie udając, że spór o aborcję nagle wyparował z przestrzeni publicznej. Muszą szanować precedens, nie kanonizując przy tym ewidentnych błędów

przeszłości, oraz chronić wolność słowa i religii, nie tworząc przy tym niebezpiecznych przywilejów plemiennych. Muszą wreszcie stosować historię jako drogowskaz, nie uprawiając przy tym historii selektywnej, i odrzucić żywy konstytucjonalizm, nie popadając w martwy, pozbawiony ducha formalizm. To zadanie jest ekstremalnie trudne, ale właśnie dlatego konstytucjonalizm jest w swojej istocie sztuką rządzenia nieufnością wobec wszystkich i wszystkiego. Amerykańska Konstytucja nie jest poematem o powszechnej harmonii, lecz precyzyjnym mechanizmem zaprojektowanym dla ludzi ambitnych, omylnych i skłonnych do zawłaszczania cudzej władzy.

Największą mądrością ojców założycieli nie była naiwna wiara w ludzką cnotę, lecz genialny projekt ustroju na wypadek jej chronicznego niedoboru w życiu publicznym. I dlatego Sąd Najwyższy, jeśli ma naprawdę powrócić do swojej pierwotnej roli „najmniej niebezpiecznej gałęzi" władzy, musi nauczyć się najtrudniejszej formy panowania: władzy powstrzymywania samego siebie. Podział władzy nie upada zazwyczaj z hukiem gwałtownego przewrotu, nie zawsze towarzyszą mu żołnierze na ulicach czy płonące gmachy parlamentu. Częściej dzieje się coś znacznie bardziej nowoczesnego, miękkiego i biurowego: kompetencje poszczególnych organów zaczynają powoli migrować w stronę niekontrolowanych ośrodków wpływu.

Ustawodawca, nie chcąc brać odpowiedzialności za trudne decyzje, chętnie deleguje swoje uprawnienia na rzecz bezimiennych agencji. Egzekutywa, nie mając cierpliwości do żmudnych procesów legislacyjnych, zaczyna rządzić za pomocą regulacji i dekretów. Agencja z kolei nie chce pytać nikogo o zdanie, więc samodzielnie interpretuje własne przepisy, stając się sędzią we własnej sprawie. Sąd, nie chcąc przyznać, że de facto rozstrzyga spory polityczne, chowa się za parawanem czysto technicznego odczytywania prawa. Obywatel w tym wszystkim przestaje rozumieć, kto naprawdę podjął decyzję wpływającą na jego życie, więc zaczyna narzekać na mityczny „system". A system, jak powszechnie wiadomo, ma jedną cudowną właściwość: nigdy nie odbiera telefonu i nie ponosi żadnej odpowiedzialności przed wyborcami.

W tym sensie państwo administracyjne nie jest jedynie zjawiskiem z zakresu teorii prawa, lecz specyficzną kulturą władzy pozbawionej twarzy. Jest to antropologia urzędu, ekonomia bodźców i socjologia eksperckiego prestiżu, która karmi się teologią świeckiej sprawności i nieomylności technokratów. Naczelna maksyma tego układu brzmi: „Nie pytaj, kto ma mandat; pytaj, kto ma kompetencję", co brzmi rozsądnie tylko do momentu, gdy zauważymy, że kompetencja bez mandatu staje się formą panowania. Ekspert może wiedzieć o świecie znacznie więcej niż przeciętny obywatel, ale z tej przewagi wiedzy nie wynika automatycznie żadne prawo do rządzenia tym obywatelem. Władza nowoczesna bardzo lubi mylić epistemologię z legitymacją, przez co hasło „wiemy lepiej" płynnie przechodzi w groźne przekonanie, że „wolno nam więcej".

Właśnie w tym subtelnym przejściu zaczyna się powolna, ale nieuchronna erozja republiki i jej fundamentów. Klasyczny podział władz był projektem głębokiej nieufności, który nie zakładał, że ludzie sprawujący wysokie urzędy będą aniołami kierującymi się wyłącznie dobrem wspólnym. Zakładał raczej, że ambicja musi być powstrzymywana przez inną ambicję, a każda gałąź władzy powinna mieć żywotny interes w pilnowaniu pozostałych. Ten schemat nigdy nie był matematycznie czysty, ale jego sens pozostawał jasny: nie wolno dopuścić do skupienia pisania reguł, ich egzekwowania i sądzenia naruszeń w jednym ośrodku. Monteskiusz wiedział doskonale, że wolność polityczna istnieje tylko tam, gdzie granice władzy są realne, a nie jedynie ceremonialne.

Państwo administracyjne rozmontowuje ten sprawdzony schemat nie poprzez formalne zniesienie konstytucji, lecz przez praktyczną hybrydyzację funkcji wewnątrz agencji regulacyjnych. Agencja otrzymuje od Kongresu ogólną delegację, po czym wydaje regulacje o charakterze normatywnym, prowadzi postępowania, nakłada sankcje i zarządza ryzykiem. Obywatel staje wobec instytucji, która jest jednocześnie miniustawodawcą, miniprokuratorem i minisądem, co całkowicie przekreśla zasadę incompatibilitas, czyli niepołączalności ról ustrojowych. To nie jest już trójpodział władzy, lecz potężny kombajn ustrojowy, który jest niezwykle wydajny w mieleniu ludzkich spraw. Problem polega jednak na tym, że kombajn nigdy nie pyta zboża o zgodę na żniwa, a my coraz bardziej przypominamy to zboże, czekając na kolejny cykl regulacyjnej obróbki.

Koniec ery wszechwładzy agencji: powrót do odpowiedzialności

Obrońcy państwa administracyjnego, czyli rozbudowanego systemu agencji zarządzającego złożonymi obszarami życia, przekonują, że nowoczesność wymknęła się spod kontroli klasycznych legislatur. Klimat, finanse, bezpieczeństwo leków czy sztuczna inteligencja wymagają wszak wiedzy, której próżno szukać w ławach parlamentarnych. Kongres nie jest laboratorium, nie jest bankiem centralnym ani komisją epidemiologiczną, co wydaje się tezą wręcz banalnie prawdziwą. Niemniej z faktu, że świat stał się skomplikowany, nie wynika jeszcze prawo do omijania demokratycznej odpowiedzialności za podejmowane decyzje. Sformułowanie „to skomplikowane” nie może stać się nowoczesną wersją dawnego zawołania, że król tak chce. Sprawność pozbawiona odpowiedzialności jest bowiem tylko elegancką odmianą samowoli, ubraną w technokratyczny kostium.

Państwo administracyjne chętnie przedstawia się jako zbawienne lekarstwo na chroniczny bezwład polityki i partyjne kłótnie. Jednak każde lekarstwo przyjmowane bez ścisłej kontroli dawki nieuchronnie zamienia się w toksynę niszczącą organizm. Agencje dysponują wiedzą ekspercką, ale posiadają również własny, silnie zakorzeniony interes instytucjonalny, którego nie wolno nam

ignorować. Rozszerzają swoje kompetencje, zaciekle bronią budżetów i produkują kolejne regulacje, by uzasadnić konieczność własnego istnienia. Biurokracja rzadko kiedy przyznaje, że jej rola dobiegła końca, bo naturalnym odruchem jest dla niej stwierdzenie, iż problem wymaga szerszych uprawnień. Każda instytucja posiada własny metabolizm, a państwo administracyjne żywi się przede wszystkim niejasną delegacją ustawową.

Z punktu widzenia ekonomii instytucjonalnej, badającej wpływ norm na zachowania podmiotów, problem ten jawi się jako wręcz podręcznikowy przykład systemowej dysfunkcji. Kongres posiada silne bodźce do unikania odpowiedzialności, toteż politycy wolą uchwalać wielkie hasła, delegując niewygodne szczegóły na barki urzędników. Agencje z kolei dążą do maksymalizacji zakresu swojego działania, podczas gdy prezydent używa ich jako narzędzi omijania podzielonego parlamentu. Sądy starają się utrzymać rolę arbitra ostatecznego, a grupy interesu dążą do regulacyjnego przechwytywania aparatu władzy. Łatwiej jest przecież wpłynąć na wyspecjalizowaną agencję niż przekonać do swoich racji całe, zróżnicowane społeczeństwo. W ten sposób powstaje nie republika odpowiedzialności, lecz swoista gospodarka wpływu, gdzie zamiast kupować ustawy, kształtuje się wytyczne.

Walka z nadmiernym rozrostem państwa administracyjnego nie jest prostym sporem między zwolennikami regulacji a wyznawcami wolnego rynku. To fundamentalny spór o widzialność władzy, gdyż republika wymaga, by obywatel wiedział, kto ustanowił normę i kto za nią odpowiada. Państwo administracyjne działa jednak przez rozproszenie autorstwa, tworząc sytuację, w której nikt nie czuje się w pełni winny skutków. Kongres wskazuje na agencję, agencja powołuje się na upoważnienie, a prezydent zasłania się rekomendacjami anonimowych ekspertów. Obywatel patrzy na ten taniec kompetencji i odkrywa, że władza jest wszędzie, ale odpowiedzialność rozpłynęła się w biurokratycznej mgle. Gdy wszyscy są kompetentni, nikt nie jest odpowiedzialny, co powinno być ostrzeżeniem dla każdego nowoczesnego regulatora.

Nikt poważny nie proponuje państwa bez urzędów, standardów, inspekcji czy procedur, gdyż administracja jest elementem koniecznym nowoczesnego ładu. Problem zaczyna się jednak wtedy, gdy administracja przestaje wykonywać prawo, a zaczyna żyć z jego celowej niejasności. Gdy nieostre pojęcie staje się zaproszeniem do tworzenia wielkiej polityki, interes publiczny zaczyna oznaczać to, co agencja uzna za właściwe. Regulacyjna mapa bywa rysowana w trakcie marszu, a obywatel dowiaduje się o naruszeniu ścieżki, której wczoraj jeszcze nie było. W tym kontekście orzecznictwo Sądu Najwyższego USA jest czymś znacznie głębszym niż tylko serią technicznych decyzji prawnych. To próba przywrócenia czystości ról, czyli wyraźnego rozgraniczenia kompetencji osób sprawujących władzę w państwie.

Wyrok w sprawie West Virginia v. EPA jasno pokazał, że agencja nie może wyprowadzać ogromnych kompetencji z ogólnych i nieprecyzyjnych delegacji. Doktryna głównych pytań mówi w istocie, że gdy sprawa ma wielkie znaczenie gospodarcze, Kongres musi wypowiedzieć się w sposób wyraźny. Nie wystarczy tutaj regulacyjna alchemia, w której mały, zapomniany przepis zamienia się nagle w potężne narzędzie władzy nad rynkiem. Sąd podkreślił, że przy decyzjach o ogromnym znaczeniu oczekuje jasnego upoważnienia ustawodawcy, a nie domysłów. Jeszcze silniejszym ciosem w ten model była sprawa Loper Bright Enterprises v. Raimondo, która uchyliła słynną doktrynę Chevron. Zasada ta nakazywała sądom akceptować interpretacje agencji, o ile były one rozsądne, co dawało urzędnikom ogromną przewagę.

Po tym przełomowym wyroku to sądy mają samodzielnie rozstrzygać znaczenie prawa, przywracając sędziom wyłączną kompetencję do interpretacji ustaw. To nie jest drobna korekta techniczna, lecz fundamentalna zmiana filozofii państwa, kończąca z zasadą, że niejasność ustawy jest własnością agencji. Trzecim elementem tej układanki jest sprawa SEC v. Jarkesy, w której Sąd uznał prawo pozwanego do procesu przed ławą przysięgłych. Orzeczenie to uderza w administracyjne sądzenie wewnętrzne, gdzie obywatel odpowiada przed organem będącym jednocześnie oskarżycielem i sędzią. Krytycy wyroku alarmują, że osłabi on skuteczność agencji, ale zwolennicy słusznie zauważają, iż sprawność nie usprawiedliwia obchodzenia gwarancji proceduralnych. Jeżeli państwo chce karać swoich obywateli, niech wyjdzie z dusznego korytarza agencji i stanie przed niezawisłym sądem. Tyran budzi opór, ale to bezduszny formularz i brak odpowiedzialności budzą w nas najgłębsze zmęczenie.

Konstytucyjna pokora: jak okiełznać państwo administracyjne

Warto zachować intelektualną uczciwość i dostrzec, że współczesna linia orzecznicza nie jest jedynie ślepym furiatyzmem wymierzonym w biurokrację. Spójrzmy na sprawę finansowania Consumer Financial Protection Bureau, gdzie Sąd Najwyższy wcale nie przyjął maksymalistycznej, antyadministracyjnej pozy. Uznał on mianowicie, że mechanizm budżetowy tej agencji nie narusza klauzuli apropracyjnej, skoro Kongres jasno określił źródło oraz cel wydatkowania środków. Ten wyrok dowodzi, że obecny zwrot w orzecznictwie nie stanowi próby całkowitej likwidacji państwa administracyjnego, lecz jest raczej mozolnym wyznaczaniem jego cywilizowanych granic. Sąd nie twierdzi przecież, że istnienie wyspecjalizowanych agencji jest z gruntu niekonstytucyjne.

Przesłanie płynące z sali rozpraw jest znacznie bardziej subtelne: agencje nie mogą operować poza jasnym mandatem ustawowym ani uciekać spod kontroli niezawisłych sądów. Gdy w grę wchodzą

dotkliwe sankcje oraz fundamentalne prawa jednostki, tradycyjne gwarancje procesowe muszą pozostać nienaruszone. Bez tego istotnego niuansu krytyka biurokracji szybko degeneruje się w retorykę pustego młota, która potrafi jedynie niszczyć, a nie budować. Nie chodzi przecież o rozbicie administracyjnego kombajnu ustrojowego jako takiego, lecz o przywrócenie mu niezbędnej dawki konstytucyjnej pokory. Czystość ról, czyli postulat wyraźnego rozgraniczenia kompetencji między tymi, którzy stanowią prawo, a tymi, którzy je egzekwują, stanowi fundament zaufania.

W idealnym modelu ekspert jedynie doradza, obywatel poprzez swoich przedstawicieli decyduje, a niezależny sąd pilnuje nieprzekraczalnych granic kompetencji. Taka samorządność, rozumiana jako zdolność społeczeństwa do rozstrzygania sporów politycznych poprzez mechanizmy republikańskie, a nie tylko wyroki, jest dziś zagrożona. Niestety, ten klasyczny podział władzy kruszeje najszybciej w epoce permanentnych kryzysów, które stały się ulubioną walutą władzy wykonawczej. Wojna, pandemia czy załamanie rynków rodzą natychmiastową pokusę zawieszenia żmudnych procedur na kołku. Słyszymy wtedy, że nie mamy czasu na debaty w Kongresie, a społeczeństwo nie rozumie skali egzystencjalnego zagrożenia.

Wszystkie te argumenty mogą być w pierwszym odruchu częściowo prawdziwe i właśnie ta pozorna słuszność czyni je śmiertelnie niebezpiecznymi. Najbardziej przekonujące uzasadnienia dla rozszerzenia władzy rzadko bywają całkowicie fałszywe, bo zazwyczaj są racjonalne w pierwszym zdaniu, by stać się autorytarne w trzecim. Pandemia COVID-19 dobitnie pokazała, jak niebezpiecznie cienka jest granica między obiektywną koniecznością a biurokratycznym nawykiem zarządzania wyjątkowego. Nakazy, zakazy czy wymogi szczepień stanowiły realną odpowiedź na zagrożenie, lecz sama realność kryzysu nie znosi pytania o kompetencję. Państwo konstytucyjne nie jest projektem na dobrą pogodę, lecz mechanizmem, który musi działać sprawnie zwłaszcza wtedy, gdy jest trudno.

Konstytucja odkładana na czas kryzysu przypomina parasol używany wyłącznie w słoneczne dni – ładnie wygląda, ale nie do tego go przecież zaprojektowano. Państwo administracyjne posiada wrodzoną skłonność do traktowania wyjątku jako prototypu przyszłej normy, co wynika z samej logiki organizacyjnej. Narzędzie raz stworzone niemal zawsze domaga się użycia, a kompetencja raz przyznana rzadko dobrowolnie wraca do ustawowego pudełka. Dlatego warto pamiętać, że tymczasowa władza ma niezwykle trwałą pamięć i rzadko cierpi na amnezję w kwestii swoich przywilejów. Kto w obliczu kryzysu tworzy nowy mechanizm kontroli, powinien od razu zaprojektować precyzyjny bezpiecznik jego automatycznego wygaszenia.

W przeciwnym razie wyjątek pozostanie w systemie jak gwóźdź w bucie, który z czasem trwale zmienia sposób chodzenia całego państwa. Z perspektywy antropologii politycznej rozrost biurokracji zmienia nie tylko strukturę państwa, ale przede wszystkim sam typ nowoczesnego

obywatela. Klasyczna republika potrzebuje podmiotu zdolnego do sporu i odpowiedzialności, podczas gdy państwo administracyjne wytwarza jedynie potulny podmiot zgodności. Tyran budzi opór, natomiast formularz budzi jedynie zmęczenie i poczucie beznadziei. Obywatel przestaje współrządzić, a zaczyna jedynie stosować się do procedur, wypełniać rubryki i ufać nieprzejrzystym procesom. Jest zarządzany miękko, niemal niezauważalnie, co wcale nie oznacza, że owa kontrola jest mniej intensywna.

Feudalizm regulacyjny: jak państwo administracyjne tłumi wolność

Dawny suweren niepostrzeżenie przeobraził się w pokornego użytkownika usług publicznych. Gdy mechanizm państwowy zgrzyta lub się zawiesza, ów użytkownik nie sięga już po kartę wyborczą jako narzędzie zmiany, lecz może co najwyżej kliknąć przycisk „zgłoś problem”. Ta zmiana statusu ma fundamentalne znaczenie nie tylko dla godności obywatela, lecz przede wszystkim dla realnej kondycji gospodarki. Nadmiernie rozbudowane państwo administracyjne zwiększa koszty transakcyjne, tworząc gęstą sieć barier, przez które przebić mogą się tylko najsilniejsi. W tym systemie premiowane są wielkie podmioty, posiadające zasoby pozwalające na obsługę skomplikowanej zgodności, co osłabia pozycję małych przedsiębiorców. Zamiast na innowacjach, uwaga inwestorów skupia się na próbach przewidzenia kolejnych ruchów regulatora, co paraliżuje autentyczny rozwój.

Wielka korporacja poradzi sobie z każdą nową regulacją, ponieważ dysponuje armią prawników, lobbystów i wyspecjalizowanych działów compliance. Tymczasem mały podmiot ma do dyspozycji jedynie przedsiębiorcę, który po dwunastu godzinach wyczerpującej pracy próbuje zrozumieć zawiłe wytyczne i z lękiem zastanawia się, czy właśnie nie stał się przestępcą administracyjnym. W ten paradoksalny sposób regulacyjne państwo troski, deklarujące ochronę słabszych, staje się najpotężniejszym sojusznikiem koncentracji kapitału. Brutalny slogan ekonomiczny przypomina nam bowiem, że im bardziej złożona jest regulacja, tym większą przewagę zyskują ci, których stać na jej opłaconych tłumaczy. To jest punkt, w którym prawnik i ekonomista podają sobie rękę. Przejrzystość kompetencji nie jest jedynie abstrakcyjną wartością konstytucyjną, lecz niezbędnym warunkiem zdrowego rynku.

Gdy reguły gry są jasne, podmioty rywalizują ze sobą przede wszystkim produktywnością oraz jakością oferowanych usług. Jednak w sytuacji, gdy zasady stają się płynne, rywalizacja przenosi się w obszar walki o dostęp do wpływowego interpretatora tychże reguł. Jeśli agencja administracyjna posiada szeroki luz decyzyjny, racjonalny przedsiębiorca przestaje inwestować w technologię, a

zaczyna w relacje, przewidywanie nastrojów urzędników oraz defensywną zgodność. To nie jest już kapitalizm wolnej konkurencji, lecz feudalizm regulacyjny w nowoczesnym garniturze. Z perspektywy kulturoznawczej państwo administracyjne posiada jeszcze jeden rys: produkuje ono język bezosobowy i technokratyczny. W tym świecie nikt niczego nie zakazuje, lecz jedynie „wdraża standard", co brzmi znacznie bardziej profesjonalnie i mniej opresyjnie.

W biurokratycznej nowomowie nikt nie karze obywatela, lecz jedynie „egzekwuje zgodność" z przyjętymi wcześniej, często niejasnymi procedurami. Nikt nie cenzuruje wypowiedzi, lecz jedynie „ogranicza ryzyko szkody informacyjnej", dbając o higienę debaty publicznej. Nikt nie sprawuje realnej władzy, ponieważ wszyscy jedynie „koordynują odpowiedź" na wyzwania, które sami zdefiniowali jako kluczowe. Ten język jest aksamitny, gładki i uspokajający, ale musimy pamiętać, że aksamit również może skrywać policyjną pałkę. Dlatego obowiązkiem intelektualnym jest demaskowanie tych eufemizmów, które zamazują obraz rzeczywistych relacji władzy. Gdy aparat państwowy zaczyna mówić wyłącznie językiem bezpieczeństwa, obywatel powinien natychmiast sprawdzić, gdzie schowano jego wolność. Tyran budzi opór. Formularz budzi zmęczenie.

Krytyka państwa administracyjnego nie może stać się kultem chaosu. Istnieją przecież realne problemy społeczne, których nie rozwiąże sama spontaniczność rynkowa, jak choćby ryzyko systemowe generowane przez rynki finansowe czy koszty środowiskowe przerzucane na wspólnotę. Wielkie platformy cyfrowe posiadają dziś realną moc wpływania na debatę publiczną, naszą prywatność oraz zasady uczciwej konkurencji. Sztuczna inteligencja rodzi zupełnie nowe pytania o odpowiedzialność, systemową dyskryminację oraz niebezpieczną koncentrację danych. Państwo musi zatem posiadać zdolność do skutecznego działania, niemniej zdolność ta nie powinna być tożsama z nieograniczoną administracyjną suwerennością. Można budować silne państwo konstytucyjne, o ile jego siła jest mocno zakotwiczona w jasnym prawie i odpowiedzialności politycznej.

Słabe państwo to nie tylko takie, które jest małe, lecz przede wszystkim takie, które działa chaotycznie i nie potrafi wskazać winnych swoich błędów. Tu dochodzimy do roli sądu, który ma być strażnikiem granic, lecz nie może sam stać się „królem granic". Odrzucając doktrynę Chevron, czyli zasadę nakazującą sądom przyjmowanie interpretacji niejasnych przepisów dokonywanych przez agencje rządowe, sędzia nie powinien udawać eksperta technicznego. Właściwa formuła brzmi: fakty od ekspertów, prawo od sądów, polityka od demokratycznie odpowiedzialnych organów. Każde przesunięcie tej triady tworzy patologię, w której ekspert piszący prawo staje się technokratą, a sędzia kreujący politykę przeistacza się w legislaturę. Populizm natomiast stanowi instytucjonalizację woli większości, pozbawionej jakichkolwiek hamulców.

Najgroźniejszym przeciwnikiem republikańskiej wizji państwa nie jest brutalna tyrania, lecz wszechobecny konformizm i wygoda. Władzy ustawodawczej wygodnie jest delegować trudne decyzje na bezimienne agencje, unikając tym samym gniewu wyborców, podczas gdy egzekutywie wygodnie jest rządzić poprzez dekrety. Naród przestaje być własnym rządcą, jeśli żywotne kwestie zostają nieodwołalnie ustalone przez agencje, których decyzje są zbyt techniczne, by o nich debatować. Władza administracji jest kapilarna i sączy się przez system niepostrzeżenie, podczas gdy władza sądu uderza niczym młotek. Dlatego nie wystarczy bronić Konstytucji przed tyranem; trzeba jej bronić przede wszystkim przed procedurą, która zapomniała, komu i czemu ma służyć. To jest najważniejsza lekcja współczesnych sporów o państwo administracyjne.

Incompatibilitas: dlaczego musimy rozdzielić role w państwie

Nowoczesna dominacja rzadko przybiera formę otwartej wrogości wobec wolności, woląc raczej subtelne techniki jej równoważenia, optymalizowania czy uzgadniania z celami publicznymi. Proces ten postępuje niemal niezauważalnie, aż pewnego poranka obywatel orientuje się, że jego swobody wciąż figurują w systemie, ale każda z nich wymaga teraz stosownego formularza, interpretacji urzędnika lub aktualizacji regulacyjnej. Esej źródłowy słusznie postuluje powrót do fundamentów: do tekstu ustawy zasadniczej, rygorystycznego podziału władz oraz sądu, który posiada odwagę, by nakładać ograniczenia nie tylko na innych, ale i na samego siebie. To nie jest projekt reakcyjny w prymitywnym sensie, lecz przemyślana strategia antyuzurpacyjna. Chodzi o przywrócenie elementarnej zasady, wedle której każda władza publiczna musi być w stanie wylegitymować się jasnym i zrozumiałym mandatem. Tyran budzi opór. Formularz budzi zmęczenie.

Żyjemy w epoce, w której polityka coraz chętniej ewakuuje się w bezpieczne rejony administracji, ta zaś skrywa się za parawanem eksperckiej wiedzy, która ostatecznie znika w czarnej skrzynce algorytmu. W takim układzie pytanie o źródło mandatu i podstawę decyzji staje się aktem niemal wywrotowym, co zresztą należy uznać za objaw zdrowia republiki. Każda władza, nawet ta z identyfikatorem działu zgodności, wymaga systemowej nieufności i obywatelskiej weryfikacji jej faktycznych kompetencji. Zamiast abstrakcyjnych teorii potrzebujemy więc praktycznej maksymy: pytaj, kto realnie decyduje, na jakiej podstawie prawnej to czyni i czy istnieje jakakolwiek ścieżka odwoławcza od jego rozstrzygnięć. Musimy wreszcie rozstrzygnąć, czy prawo jest wciąż prawem, czy jedynie elastyczną interpretacją urzędu dysponującego nieskończoną liczbą skomplikowanych formularzy. Jeśli te pytania brzmią dziś radykalnie, to znaczy tylko tyle, że zbyt mocno przywykliśmy do języka uległości wobec biurokratycznej machiny.

Klasyczny podział władzy kruszeje najszybciej wtedy, gdy ogół społeczeństwa uznaje, że w imię wyższego dobra można na chwilę przymknąć oko na przesuwanie ustrojowych granic. Państwo administracyjne, czyli rozbudowany system agencji i organów regulacyjnych zarządzający złożonymi obszarami życia społecznego, rośnie w siłę właśnie wtedy, gdy owa chwilowość zakorzenia się w systemie na całe pokolenia. Sąd Najwyższy odzyskuje sens wtedy, gdy przypomina wszystkim gałęziom władzy, że nie są właścicielami kompetencji, lecz ich depozytariuszami. Obywatel natomiast odzyskuje podmiotowość w republice wtedy, gdy przestaje być jedynie klientem administracyjnych decyzji i ponownie staje się współautorem obowiązującego prawa. Można by rzec, że republika nie umiera wcale wtedy, gdy państwo działa sprawnie, lecz wtedy, gdy działa ono w sposób tak nieprzejrzysty, że nie wiadomo już, kto rządzi. Walka o podział władzy nie jest więc muzealnym sporem, lecz batalią o to, czy wolność pozostanie prawem, czy funkcją urzędowej zgody.

W tym kontekście pojawia się pojęcie incompatibilitas, które laikowi może brzmieć jak łaciński eksponat z zakurzonej biblioteki konstytucjonalisty, stojący obok traktatów Monteskiusza. W rzeczywistości jest to jednak jedno z najbardziej praktycznych pojęć, na których opiera się konstrukcja sprawnego państwa. Incompatibilitas, czyli konstytucyjna zasada niepołączalności mandatu parlamentarnego z określonymi funkcjami publicznymi, gwarantuje czystość ról ustrojowych, czyli postulat wyraźnego rozgraniczenia kompetencji i funkcji osób sprawujących władzę. Nie jest to jedynie estetyczna dekoracja tekstu ustawy zasadniczej, lecz fundamentalny bezpiecznik całej instalacji państwowej, chroniący nas przed zwarciem interesów. Bezpieczniki mają to do siebie, że dopóki funkcjonują prawidłowo, nikt nie poświęca im uwagi, jednak w chwili ich awarii płonie zazwyczaj cały dom.

Inicjatywa Fundacji Dobre Państwo dotycząca wzmocnienia zasady niepołączalności trafia w sam nerw polskiej państwowości, która od lat zmaga się z głęboką chorobą systemowego mieszania ról. W rodzimej praktyce publicznej zbyt często zdarza się, że ten sam ośrodek decyzyjny pragnie być jednocześnie legislatorem, wykonawcą, beneficjentem oraz moralnym recenzentem własnych, nierzadko kontrowersyjnych poczynań. Taki stan rzeczy nie ma nic wspólnego z państwem prawa, przypominając raczej polityczno-administracyjny multitasking, w którym konflikt interesów staje się stałym elementem krajobrazu. Choć nowoczesny smartfon może bez trudu obsługiwać wiele aplikacji jednocześnie, to państwo konstytucyjne w trosce o swoje przetrwanie powinno unikać podobnej wszechstronności u swoich funkcjonariuszy. Demokracja nie jest przecież świątynią harmonii. Jest instytucjonalną metodą niezgody, która wymaga jasnych reguł i sędziów niezaangażowanych w grę. Bez rygorystycznego przestrzegania zakazu łączenia funkcji, każda reforma pozostanie jedynie powierzchowną zmianą dekoracji w teatrze władzy.

Incompatibilitas: czy parlament stał się wydziałem rządu?

Państwo konstytucyjne nie powinno być jak szwajcarski scyzoryk, który próbuje być wszystkim naraz, tracąc przy tym ostrość każdego z dostępnych ostrzy. Fundamentem tej ustrojowej wstrzemięźliwości jest art. 103 Konstytucji RP, statuujący zasadę incompatibilitas, czyli konstytucyjny zakaz łączenia mandatu parlamentarnego z określonymi funkcjami publicznymi, co ma gwarantować czystość ról w państwie. Przepis ten niczym kordon sanitarny oddziela salę sejmową od gabinetów Prezesa NBP, NIK czy Rzecznika Praw Obywatelskich, dbając o to, by kontrolujący nie stał się nagle kontrolowanym. Smartfon może mieć wiele aplikacji naraz. Państwo konstytucyjne nie powinno, gdyż każda kumulacja władzy w jednym ręku grozi paraliżem mechanizmów bezpieczeństwa i zatarciem granic odpowiedzialności. To nie jest jedynie techniczny zapis w ustawie zasadniczej, lecz wyraz głębokiej nieufności wobec ludzkiej natury, która zawsze dąży do poszerzania strefy wpływów kosztem innych.

Jednakże ten sam artykuł 103 zawiera w sobie wyjątek, który dla wielu obserwatorów życia publicznego stanowi niebezpieczny wyłom w murze oddzielającym od siebie poszczególne władze. Zakaz nie dotyczy bowiem członków Rady Ministrów oraz sekretarzy stanu, co sprawia, że serce legislatywy bije w rytm narzucany bezpośrednio przez egzekutywę. Fundacja Dobre Państwo, analizując ten stan rzeczy w swoim publicznym banku tekstów, postawiła prowokacyjne pytanie: czy mamy do czynienia z incompatibilitas, czy już z impossibilitas, sugerując systemową niemożność rzetelnego sprawowania mandatu. Petycja o sygnaturze BKSP 155 X 307/24, która trafiła do sejmowych archiwów w 2025 roku, uderzała właśnie w ten czuły punkt – w końcówkę ustępu pierwszego, dopuszczającą łączenie ról. Czy to tylko tradycja parlamentaryzmu, czy może już systemowa wada, która sprawia, że podział władzy staje się jedynie teoretycznym konstruktem dla naiwnych?

Istota zakazu łączenia funkcji nie opiera się na braku wiary w kompetencje czy osobistą uczciwość konkretnych osób, lecz na chłodnej, niemal matematycznej kalkulacji ryzyka systemowego. Państwo prawa nie jest wszak budowane pod ludzi cnotliwych, lecz na wypadek ludzi ambitnych, lojalnych frakcyjnie i przekonanych o własnej, dziejowej nieomylności. Najgroźniejsze konflikty interesów nie rodzą się ze złej woli, lecz z naiwnego przekonania, że można być jednocześnie sędzią i zawodnikiem we własnej, politycznej sprawie. Czystość ról, czyli postulat wyraźnego rozgraniczenia kompetencji osób sprawujących władzę, jest warunkiem koniecznym, by obywatel mógł ufać instytucjom, a nie tylko doraźnym deklaracjom polityków. Gdy ktoś twierdzi, że potrafi

bezbłędnie oddzielić rolę posła od roli ministra, prosi nas o wiarę na słowo, a państwo nie jest przecież wspólnotą religijną.

Trybunał Konstytucyjny już w połowie lat dziewięćdziesiątych, w słynnej uchwale z 1996 roku, przypominał, że zasada ta wyrasta z samej tkanki podziału władzy i niezależności legislatywy. Incompatibilitas nie jest formą represji wobec ambitnego polityka, lecz tarczą chroniącą Naród przed nadmierną koncentracją ról publicznych w jednym, partyjnym ręku. Poseł lub senator, jako reprezentant ogółu, ma obowiązek patrzeć rządowi na ręce, a nie trzymać w nich rządowe instrukcje i gotowe projekty ustaw. Jeśli te dwie sfery się przenikają, powstaje napięcie, którego nie da się rozładować żadną retoryką sprawności czy rzekomej konieczności dziejowej. W takim układzie państwo zaczyna przypominać teatr, w którym aktor sam pisze sobie recenzję, a na koniec wieczoru wręcza sobie nagrodę za najlepszą rolę.

Oczywiście, klasyczny model parlamentarno-gabinetowy z natury zakłada pewną więź personalną między większością w izbie a składem rządu, co odróżnia go od systemów prezydenckich. Nie możemy więc oczekiwać mechanicznej, niemal laboratoryjnej separacji, gdyż rząd wyłania się z parlamentu i musi posiadać w nim stabilne, polityczne oparcie. Problemem nie jest sam fakt, że ministrowie zasiadają w ławach poselskich, lecz to, jak ta praktyka rezonuje z realiami współczesnej, polskiej sceny politycznej. W warunkach silnej dyscypliny partyjnej i słabego parlamentaryzmu deliberacyjnego, czyli zdolności społeczeństwa do rozstrzygania sporów poprzez debatę, Sejm staje się jedynie pasem transmisyjnym. To tutaj teoretyczny model Westminsteru zderza się z twardym brukiem realnego ekosystemu III RP, w którym autonomiczna debata bywa traktowana jako zbędny luksus.

Realny ekosystem polskiego parlamentaryzmu sugeruje, że Sejm zbyt często pełni funkcję maszyny zatwierdzającej, a nie suwerennej izby refleksji, kontroli i merytorycznego sporu. Komisje parlamentarne, zamiast być miejscem ścierania się różnych wizji państwa, stają się przedłużeniem partyjnej arytmetyki, gdzie poprawki przychodzą w teczkach bezpośrednio z ministerstw. Projekty poselskie bywają używane jako sprytna droga omijania konsultacji społecznych, co tylko pogłębia wrażenie, że proces legislacyjny jest sterowany z rządowego, tylnego siedzenia. Gdy do tej mieszanki dodamy posłów pełniących funkcje rządowe, otrzymujemy ustrojową hybrydę, w której kontroler posiada służbowy identyfikator kontrolowanego przez siebie podmiotu. Nie ma mowy o realnej kontroli tam, gdzie kontrolujący z nadzieją spogląda na kontrolowanego, czekając na kolejny szczebel awansu w hierarchii wykonawczej.

Szczególnie niepokojąca jest sytuacja sekretarzy stanu, którzy – w przeciwieństwie do ministrów – są głęboko osadzeni w biurokratycznej, pionowej hierarchii administracji rządowej. Państwo administracyjne, czyli rozbudowany system agencji zarządzający złożonymi obszarami życia

społecznego, wchłania parlamentarzystę, czyniąc z niego trybik w potężnej maszynie wykonawczej. Jako posłowie, osoby te głosują nad budżetami własnych resortów, oceniają realizację programów, które sami wdrażają, i decydują o wotum zaufania dla rządu. Powstaje sytuacja, w której mandat poselski, zamiast być zobowiązaniem do reprezentacji Narodu, staje się jedynie przepustką do kumulacji władzy i wpływów. Taka erozja ról prowadzi do paraliżu kontroli parlamentarnej, zamieniając ją w rytualny taniec, w którym wszyscy znają kroki, ale nikt nie wierzy w sens muzyki.

Ostatecznie musimy zapytać, czy polskie państwo w obecnym stanie instytucjonalnym wytrzymuje tak głębokie nakładanie się funkcji ustawodawczej i wykonawczej bez uszczerbku dla demokracji. Czy wyjątek przewidziany w Konstytucji nie stał się przypadkiem szeroką bramą, przez którą do Sejmu wkracza rządowa dyscyplina, wypierając z niego ducha niezależności? Mandat parlamentarny nie powinien być traktowany jako dodatek do legitymacji urzędniczej, lecz jako najwyższe zobowiązanie wobec obywateli, którzy oczekują rzetelnego rozliczenia każdej władzy. Bez przywrócenia czystości ról, państwo ryzykuje, że stanie się jedynie sprawnie zarządzanym przedsiębiorstwem politycznym, w którym interes aparatu zawsze wygrywa z interesem publicznym. Wolność nie jest zmienną w arkuszu kalkulacyjnym, a jej ochrona wymaga instytucji, które potrafią powiedzieć "nie" nawet najbardziej wpływowym i pewnym siebie ministrom.

Incompatibilitas: jak uzdrowić relację rządu z parlamentem

W polskim systemie ustrojowym konflikt interesów rzadko bywa jedynie abstrakcyjną figurą retoryczną, bowiem znacznie częściej przybiera formę brutalnego pytania o to, kto w tym układzie właściwie kogo pilnuje. Artykuł 103 Konstytucji nie jest jedynie suchym zapisem w Dzienniku Ustaw, lecz fundamentem logiki ostrożności, która operuje na dwóch kluczowych płaszczyznach zakazów. Z jednej strony mamy do czynienia z klasyczną niepołączalnością mandatu z konkretnymi funkcjami publicznymi, z drugiej zaś z kategorycznym wykluczeniem pewnych grup zawodowych, takich jak sędziowie, prokuratorzy czy funkcjonariusze służb, z życia parlamentarnego. Katalog ten nie jest zamknięty, przy czym ustrojodawca świadomie pozostawił furtkę dla ustawodawcy, by ten mógł reagować na nowe, nieprzewidziane wcześniej patologie władzy. Polska ustawa zasadnicza zdaje się zatem sugerować, że mandat przedstawicielski jest zbyt cenny, by wystawiać go na ryzyko instytucjonalnego zanieczyszczenia zależnością od egzekutywy.

Zasada incompatibilitas, czyli konstytucyjna zasada niepołączalności mandatu parlamentarnego z określonymi funkcjami publicznymi, stanowi w istocie bezpiecznik chroniący kruchą strukturę podziału władz przed niebezpiecznym zwarciem. W literaturze przedmiotu słusznie podnosi się, że

jej celem jest nie tylko przeciwdziałanie korupcji, ale przede wszystkim zapewnienie bezstronności i przejrzystości procesów decyzyjnych w samym sercu państwa. Inicjatywa Fundacji Dobre Państwo, która podnosi ten temat, nie jest zatem jedynie kosmetycznym zabiegiem wizerunkowym, lecz próbą ratowania jakości polskiej republiki przed postępującą erozją. To klasyczne działanie antykoncentracyjne, oparte na głębokim przekonaniu, że zdrowe państwo nie powinno ufać nawet najlepszym ludziom, jeśli ich role zostały wadliwie zaprojektowane. Obywatel ma prawo oczekiwać instytucjonalnych gwarancji niezależności, a nie liczyć na zmienną i kruchą etykę prywatną poszczególnych funkcjonariuszy, która bywa zawodna w starciu z politycznym pragmatyzmem.

Najsilniejszy opór wobec rygorystycznego przestrzegania tej zasady płynie zazwyczaj z obozu zwolenników mitycznej sprawności, którzy twierdzą, że rząd potrzebuje w swoich szeregach ludzi z silną legitymacją wyborczą. Argumentacja ta brzmi kusząco praktycznie, wszak parlamentarzyści znają realia polityczne, a sekretarze stanu sprawniej przepchną rządowe projekty przez sejmową maszynkę do głosowania. Niemniej jednak owa praktyczność bywa często eleganckim eufemizmem dla niebezpiecznej koncentracji wpływów w jednym ręku, co w dłuższej perspektywie osłabia mechanizmy kontrolne. Musimy zatem postawić sobie fundamentalne pytanie: czy wciąż mówimy o sprawności państwa, czy już tylko o komforcie aktualnej ekipy rządzącej, która chce uniknąć trudnych pytań? Państwo nie jest bowiem prywatnym folwarkiem prezesa parlamentarnej większości, lecz złożonym mechanizmem, który wymaga stałej i niezależnej kontroli ze strony przedstawicieli narodu.

Warto w tym miejscu spojrzeć na świat nowoczesnego biznesu, gdzie kumulacja ról zarządczych i kontrolnych jest traktowana jako kardynalny błąd w sztuce zarządzania organizacją. W poważnych korporacjach nikt przy zdrowych zmysłach nie pozwoliłby członkowi zarządu na samodzielne zatwierdzanie audytu własnych działań, bo wywołałoby to salwy śmiechu u każdego audytora i nerwowy kaszel działu prawnego. Tymczasem w sferze publicznej z zadziwiającą lekkością tolerujemy standardy, które w dużej spółce giełdowej doprowadziłyby do natychmiastowej dymisji i paniki wśród akcjonariuszy. Jeśli w biznesie konflikt interesów postrzegany jest jako ryzyko operacyjne, to w strukturze państwa staje się on groźnym ryzykiem konstytucyjnym, zagrażającym stabilności całego ustroju. Czystość ról, czyli postulat wyraźnego rozgraniczenia kompetencji osób sprawujących władzę, jest warunkiem koniecznym dla budowania elementarnego zaufania obywateli do instytucji publicznych.

Z perspektywy socjologii władzy brak ścisłej separacji ról prowadzi nieuchronnie do zjawiska klientelizacji mandatu, gdzie poseł staje się de facto zakładnikiem hierarchii własnego resortu. Parlamentarzysta piastujący funkcję w administracji rządowej zostaje uwikłany w sieć dodatkowych lojalności wobec premiera czy kierownictwa politycznego, co drastycznie osłabia jego pierwotną

funkcję reprezentacyjną. Nie chodzi tu o oskarżanie kogokolwiek o złą wolę czy brak moralności, lecz o wskazanie na strukturalną pułapkę, w której nawet najuczciwszy człowiek zaczyna głosować w polu silnej zależności instytucjonalnej. Dobra konstytucja powinna takie pola systematycznie likwidować, zamiast naiwnie wierzyć w niezłomny charakter jednostek rzuconych w wir politycznych pokus i nacisków. Mandat wolny staje się w takich warunkach jedynie teoretycznym konstruktem, przegrywając z twardą logiką hierarchii służbowej i partyjnej dyscypliny.

Problem ten ma również głębokie korzenie w polskiej kulturze politycznej, która od lat cierpi na przypadłość skrajnego personalizmu władzy i kultu „zaufanego człowieka". Wciąż szukamy „naszych ludzi" do zadań specjalnych, zapominając, że nowoczesne państwo powinno opierać się na procedurach działających bezbłędnie nawet wtedy, gdy zaufanie między ludźmi wygasa. Instytucje nie są przecież po to, by nagradzać lojalnych współpracowników, lecz by skutecznie ograniczać zapędy tych, którym ufać nie należy w sprawach dysponowania publicznym groszem. Ponieważ nigdy nie wiemy, kto w przyszłości zasiądzie w ministerialnych fotelach, ograniczenia te muszą mieć charakter powszechny, obiektywny i całkowicie bezwzględny. Incompatibilitas ma zatem wymiar głęboko antykorupcyjny, przy czym nie wolno nam sprowadzać korupcji wyłącznie do prymitywnego przekazywania kopert pod kawiarnianym stolikiem.

Współczesna patologia władzy to znacznie częściej korupcja roli, polegająca na tym, że urzędnik przestaje myśleć z perspektywy dobra wspólnego, a zaczyna z pozycji sieci zależności, w której funkcjonuje. Poseł pełniący funkcję sekretarza stanu może popierać szkodliwe rozwiązania nie dlatego, że otrzymał korzyść majątkową, lecz dlatego, że jego tożsamość została wchłonięta przez aparat wykonawczy. Jest to zjawisko znacznie subtelniejsze od klasycznego łapownictwa, ale w skutkach dla ustroju państwa okazuje się równie toksyczne, gdyż niszczy samą istotę parlamentarnej kontroli. Najtańsza korupcja to ta, za którą nie trzeba płacić, bo wystarczy lojalność, a ta w systemie scentralizowanym jest walutą niezwykle pożądaną i łatwo dostępną. Smartfon może mieć wiele aplikacji naraz, ale państwo konstytucyjne w trosce o swoje bezpieczeństwo nie powinno pozwalać na takie nakładanie się funkcji.

Projekt reformy proponowany przez Fundację Dobre Państwo należy więc odczytywać jako próbę przywrócenia powagi w myśleniu o kompatybilności ról publicznych w nowoczesnej demokracji. Nie jest to doraźny gest polityczny wymierzony w konkretną ekipę rządzącą, lecz postulat wprowadzenia trwałej zasady, która zwiąże ręce każdej przyszłej większości parlamentarnej. Dopiero takie podejście pozwala mówić o realnej reformie państwa, a nie o kolejnym narzędziu w taktycznej walce między rządem a opozycją o dostęp do zasobów. Sejm musi odzyskać swoją godność jako suwerenny organ kontrolny, a nie funkcjonować jako departament legislacyjny rządu, w którym posłowie pełnią rolę terenowych pełnomocników egzekutywy. Podział władz nie wymaga

budowania murów nie do przebicia, ale z pewnością wymaga czytelnego i zrozumiałego dla wszystkich rozróżnienia funkcji ustawodawczych od wykonawczych.

Można oczywiście wyobrazić sobie model, w którym ministrowie nie posiadają mandatu poselskiego, lecz wciąż pozostają w pełni odpowiedzialni przed parlamentem za swoje decyzje. Taki system nie osłabia demokracji, lecz wręcz ją wzmacnia, czyniąc z Sejmu miejsce realnej debaty i rzetelnej kontroli nad działaniami rozbudowanej administracji rządowej. Szczególnie rażący jest przypadek sekretarzy stanu, którzy będąc poza konstytucyjnym rdzeniem rządu, korzystają z przywileju łączenia ról, co prowadzi do niebezpiecznego rozmycia odpowiedzialności politycznej. W tym punkcie potrzebujemy chirurgicznej precyzji, by oddzielić proces tworzenia prawa od procesu jego codziennego wykonywania przez urzędników państwowych. Rząd nadal będzie zależał od większości parlamentarnej, ale poszczególni posłowie przestaną być trybikami w administracyjnej hierarchii, co pozwoli im na nowo stać się prawdziwymi reprezentantami narodu.

W systemie parlamentarno-gabinetowym pełne rozdzielenie rządu i parlamentu może gruntownie zmienić kulturę rządzenia, ale wcale nie musi oznaczać osłabienia mechanizmów demokratycznych. Przeciwnie, takie rozwiązanie może znacząco wzmocnić parlament jako miejsce realnej, a nie tylko pozorowanej kontroli nad poczynaniami władzy wykonawczej. Rząd w takim układzie nadal pozostanie politycznie zależny od większości parlamentarnej, co jest istotą tego systemu, jednak poszczególni posłowie odzyskają swoją podmiotowość. Przestaną być jedynie elementami administracyjnej hierarchii, co pozwoli im na rzetelne sprawowanie mandatu bez obawy o konflikt lojalności między wyborcami a premierem. Ostatecznie chodzi o to, by państwo działało jak precyzyjny mechanizm, w którym każda część zna swoje miejsce i nie próbuje zastępować innej w imię źle pojętej wygody.

Incompatibilitas: fundament zaufania i czystości ról w państwie

Model ten w sposób fundamentalny zwiększa czystość ról ustrojowych, przy czym owa czystość nie jest bynajmniej przejawem biurokratycznej pedanterii, lecz elementarnym warunkiem społecznego zaufania. Kto bowiem aspiruje do reprezentowania Narodu, nie powinien jednocześnie zasiadać przy biurku egzekutywy, gdyż te dwie funkcje wymagają zupełnie innej wrażliwości, a ich pomieszanie rodzi jedynie chaos kompetencyjny. Fundacja Dobre Państwo zamierza prowadzić tę inicjatywę z maksymalną determinacją, akcentując przy tym nie tylko same zakazy, ale przede wszystkim pozytywną, spójną wizję nowoczesnego państwa. Incompatibilitas, czyli konstytucyjna zasada niepołączalności mandatu parlamentarnego z określonymi funkcjami publicznymi, nie jest

przecież polityką jałowej negacji, lecz polityką niezbędnej klarowności. Smartfon może mieć wiele aplikacji naraz, ale państwo konstytucyjne w swojej strukturze nie powinno dopuszczać do takiej wielozadaniowości osób sprawujących władzę. Czystość ról, rozumiana jako postulat wyraźnego rozgraniczenia kompetencji osób sprawujących władzę, to fundament, bez którego gmach republiki staje się jedynie labiryntem niejasnych interesów.

Dobre państwo to w istocie taki organizm, w którym obywatel bez trudu rozumie, kto go reprezentuje, kto nim administruje, a kto sprawuje kontrolę nad procesami decyzyjnymi. Złe państwo natomiast to przestrzeń, w której te role zlewają się w jedną, nieprzejrzystą masę, a na końcu obywatel słyszy jedynie jałowe zapewnienie, że „procedura została zachowana". Procedura pozbawiona przejrzystości roli jest jednak niczym więcej niż ozdobną pieczęcią przystawioną na pustym dokumencie, która niczego nie gwarantuje i nikogo nie chroni przed nadużyciami. Warto zatem postrzegać incompatibilitas jako kluczowy instrument odbudowy zaufania, które w polskiej debacie publicznej zostało niemal doszczętnie strawione przez wszechobecną podejrzliwość. Każda nominacja bywa tu interpretowana jako łup wojenny, a każda instytucja jest z góry podejrzewana o partyjną kolonizację przez aktualnych zwycięzców wyścigu wyborczego. W takim środowisku nie wystarczy już tylko apelować o wyższą kulturę polityczną, bo słowa dawno straciły swoją sprawczą moc w starciu z brutalną praktyką.

Prawdziwe zaufanie nie bierze się z kolejnej konferencji prasowej o standardach etycznych, lecz z solidnej konstrukcji ustrojowej, która skutecznie ogranicza naturalną pokusę nadużycia. Zaczyna się ono w tym precyzyjnym punkcie, w którym obywatel nie musi już ufać konkretnemu człowiekowi, ponieważ może w pełni zaufać twardej i niezmiennej regule. Z tej perspektywy incompatibilitas jawi się jako skuteczne narzędzie antyplemienne, potrafiące okiełznać instynkty politycznych zwycięzców dążących do totalnej dominacji. Jeżeli zakaz łączenia funkcji obowiązuje wszystkich bez wyjątku, to w naturalny sposób ogranicza on skłonność do obsadzania każdej możliwej pozycji „swoimi" ludźmi. Każda władza twierdzi przecież, że jej nominaci są kompetentni i uczciwi, podczas gdy każda opozycja widzi w nich jedynie partyjnych funkcjonariuszy i zagrożenie dla demokracji. Reguła niepołączalności przecina ten jałowy teatr, nie pytając wcale, czy „nasi" są lepsi od „waszych", lecz stawiając twarde weto wobec samej kumulacji stanowisk.

To jest właśnie owa mityczna republikańska elegancja, która nie traci czasu na dyskusje o czystości ludzkich dusz, lecz projektuje skuteczne bariery instytucjonalne. W polskim kontekście musimy pamiętać o napięciu między zasadą incompatibilitas a konstytucyjnym modelem służby cywilnej, która z założenia ma być zawodowa, rzetelna i politycznie neutralna. Literatura prawnicza słusznie wskazuje, że pojęcie administracji rządowej ma tu znaczenie kluczowe, obejmując nie tylko same urzędy centralne, ale i jednostki im podporządkowane. Skoro poseł nie może być zatrudniony w

administracji, by nie zagrażać niezależności mandatu, to dlaczego dopuszczamy tak szeroki wyjątek dla stanowisk stricte politycznych w tym samym pionie? Oczywiście, odpowiedź konstytucyjna jest znana i wskazuje na zapisany wprost wyjątek, niemniej inicjatywa zmiany ma głęboki sens właśnie dlatego, że obnaża niespójność aksjologiczną całego systemu. Kapitał polityczny nie lubi mgły, a obywatel tym bardziej nie powinien być na nią skazany. Święte krowy są być może sympatyczne w egzotycznej ikonografii, ale w tekście ustawy zasadniczej wprowadzają jedynie niebezpieczny bałagan i osłabiają jej autorytet.

Państwo administracyjne, czyli ten rozbudowany system agencji i organów zarządzający złożonymi obszarami życia, stanowi dziś ogromne wyzwanie dla klasycznego trójpodziału władzy. Jeśli zasada niepołączalności ma chronić parlament przed dominacją egzekutywy, to wyjątek dla członków rządu i sekretarzy stanu musi być interpretowany jako rozwiązanie szczególne, a nie jako nienaruszalny obyczaj. Esej zdecydowanie opowiada się za kierunkiem wytyczonym przez Fundację Dobre Państwo, postulując radykalne ograniczenie możliwości łączenia mandatu z funkcjami w administracji rządowej. Najbardziej konsekwentna wersja reformy zmierzałaby do usunięcia lub istotnego zawężenia art. 103 ust. 1 in fine, co przywróciłoby parlamentowi jego pierwotną funkcję kontrolną. Wersja umiarkowana mogłaby pozostawić tę furtkę jedynie dla członków Rady Ministrów, wyłączając z niej jednak sekretarzy stanu i inne funkcje o charakterze polityczno-administracyjnym. Z kolei wariant minimalny, choć wprowadzałby twarde wyłączenia od głosowań i rejestry konfliktów interesów, trąci niestety próbą pudrowania głębokiego, systemowego problemu.

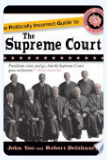
Państwo pudrowane nie staje się od takich zabiegów zdrowsze, a jedynie nieco bardziej fotogeniczne w obiektywach kamer, co nie zmienia faktu, że pod makijażem kryje się postępująca erozja zasad. Najlepsza reforma to taka, która jest prosta i czytelna dla każdego: jedna osoba pełni jedną zasadniczą rolę w strukturze władz publicznych. Jeśli chcesz być posłem, Twoim zadaniem jest kontrolowanie rządu w imieniu obywateli, a nie współtworzenie jego struktur wykonawczych. Jeśli chcesz być członkiem rządu, wykonuj politykę i odpowiadaj przed Sejmem, ale nie głosuj jako ustawodawca nad własnym zapleczem instytucjonalnym. Nie postulujemy tego dlatego, że każdy polityk jest z góry podejrzany o złe intencje, lecz dlatego, że państwo musi być tak zaprojektowane, by podejrzenie nie było pierwszą reakcją obywatela. Na końcu tej drogi zostaje sens najprostszy i najbardziej fundamentalny: incompatibilitas jest w swojej istocie lekcją pokory dla każdej władzy.

Zasada ta przypomina nam dobitnie, że nie wszystko, co politycznie możliwe, jest dla organizmu państwowego zdrowe, a nie każda kumulacja kompetencji jest dowodem sprawności. Nie każdy mandat usprawiedliwia dodatkowy urząd, tak jak nie każda lojalność wobec rządu daje się pogodzić z funkcją kontrolną, którą poseł winien sprawować wobec egzekutywy. Slogan Fundacji Dobre

Państwo mógłby brzmieć: dobre państwo zaczyna się od rozdzielenia ról, zanim trzeba będzie z mozołem rozdzielać winy między poszczególnych aktorów sceny politycznej. Kiedy bowiem role są pomieszane, winni zawsze znikają w korytarzach kompetencyjnych, zasłaniając się raz mandatem parlamentarnym, a raz instrukcją służbową otrzymaną w ministerstwie. Gdy coś pójdzie źle, poseł powie, że działał jako członek większości, a sekretarz stanu, że jedynie wdrażał politykę rządu, pozostawiając obywatela z pytaniem, które w zdrowym państwie nie powinno paść. Incompatibilitas daje tę odpowiedź natychmiast: odpowiada ten, kto pełni jedną, jasno określoną rolę i nie chowa się za drugą, bo system mu na to po prostu nie pozwala.

> Państwo konstytucyjne nie jest projektem na dobrą pogodę, lecz mechanizmem zaprojektowanym dla ludzi omylnych i skłonnych do zawłaszczania cudzej władzy. Gdy rola kontrolera zlewa się z rolą wykonawcy, obywatel przestaje być podmiotem, a staje się jedynie petentem w labiryncie własnej republiki. Pytanie brzmi: czy zdołamy przywrócić przejrzystość ról, zanim biurokratyczna procedura ostatecznie zastąpi ducha obywatelskiej odpowiedzialności?

Inspiracje

[1] 

"The Politically Incorrect Guide to the Supreme Court" John Yoo, Robert J. Delahunty

2023 | Simon and Schuster | ISBN: 9781684514328

John Yoo (ur. 1967) to wybitny amerykański prawnik i badacz prawa konstytucyjnego. Jest profesorem prawa im. Emanuela S. Hellera na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley oraz starszym stypendystą American Enterprise Institute. W latach 2001-2003 pełnił funkcję zastępcy asystenta prokuratora generalnego w Departamencie Sprawiedliwości USA. Jest autorem wielu prac, w tym współautorem książki „The Politically Incorrect Guide to the Supreme Court" (2023).

John Yoo *(born 1967) is a distinguished American legal scholar and constitutional law expert. He is the Emanuel S. Heller Professor of Law at the University of California, Berkeley, and a senior fellow at the American Enterprise Institute. From 2001 to 2003, he served as Deputy Assistant Attorney General in the U.S. Department of Justice. He is the author of numerous works, including co-authoring "The Politically Incorrect Guide to the Supreme Court" (2023).*

Robert J. Delahunty jest amerykańskim prawnikiem i profesorem prawa na University of St. Thomas School of Law, specjalizującym się w prawie konstytucyjnym i międzynarodowym. Służył w Departamencie Sprawiedliwości USA oraz jako Zastępca Radcy Prawnego w Biurze Bezpieczeństwa Wewnętrznego Białego Domu. Jest autorem książki „Spinoza" oraz współautorem „The Politically Incorrect Guide to the Supreme Court" (2023).

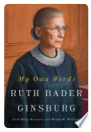
Robert J. Delahunty *is an American legal scholar and academic with a distinguished career spanning philosophy, government service, and legal academia. Educated at Columbia, Oxford, and Harvard Law School, he initially pursued a career in philosophy, holding teaching positions at Oriel College, Oxford, and Durham University. He later transitioned to law, serving in the U.S. Department of Justice's Office of Legal Counsel and as Deputy General Counsel for the White House Office of Homeland Security. Delahunty served as the LeJeune Chair and Professor of Law at the University of St. Thomas School of Law. His scholarship is notably interdisciplinary, focusing on constitutional law, international law, the law of war, and jurisprudence. He is a prolific writer on originalism and executive power, and he is currently a Washington Fellow at the Claremont Institute's Center for the American Way of Life.*

Claremont Institute

Literatura uzupełniająca

Książki

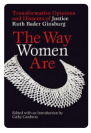
Literatura pokrewna (Google Scholar):



[1] "My Own Words"

Ruth Bader Ginsburg, Mary Hartnett, Wendy W. Williams

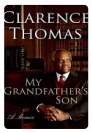
2016 | Simon and Schuster | ISBN: 9781501145247



[2] "Justice, Justice Thou Shalt Pursue: A Life's Work Fighting for a More Perfect Union"

Ruth Bader Ginsburg, Amanda L. Tyler

2021 | University of California Press | ISBN: 9781566494083



[3] "My Grandfather's Son: A Memoir"

Clarence Thomas

2007 | Harper Collins | ISBN: 9780061374739

[4] "Clarence Thomas: Confronting the Future"

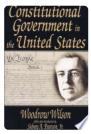
Clarence Thomas

2001 | Regnery Publishing | ISBN: 978-0-89526-225-7

[5] "Congressional Government: A Study in American Politics"

Woodrow Wilson

1885 | Houghton Mifflin



[6] "Constitutional Government in the United States"

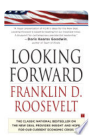
Woodrow Wilson

1908 | Transaction Publishers | ISBN: 9781412820288

[7] "The Public Papers and Addresses of Franklin D. Roosevelt"

Franklin Delano Roosevelt

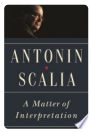
1938 | Random House | ISBN: 9780598552556



[8] "Looking Forward"

Franklin Delano Roosevelt

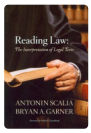
1933 | Simon and Schuster | ISBN: 9781439148693



[9] "A Matter of Interpretation: Federal Courts and the Law"

Antonin Scalia

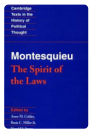
1997 | Princeton University Press | ISBN: 9781400882953



[10] "Reading Law: The Interpretation of Legal Texts"

Antonin Scalia, Bryan A. Garner

2012 | West Publishing Company | ISBN: 9780314275554



[11] "The Spirit of the Laws"

Charles De Montesquieu

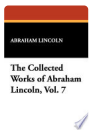
1748 | Cambridge University Press | ISBN: 9780521361835



[12] "Persian Letters"

Charles De Montesquieu

1721 | Pierre Brunel | ISBN: 9781420967838



[13] "Collected Works of Abraham Lincoln"

Abraham Lincoln

1953 | Wildside Press LLC | ISBN: 9781434477088



[14] "The Federalist Papers"

Alexander Hamilton, James Madison, John Jay

1788 | OUP Oxford | ISBN: 9780191604782



[15] "Report on the Subject of Manufactures"

Alexander Hamilton

1791 | Createspace Independent Publishing Platform | ISBN: 9781975771072

[16] "Spinoza"

Robert J. Delahunty

1985 | Routledge | ISBN: 978-0-7102-0335-9

[17] "Private Government: How Employers Rule Our Lives"

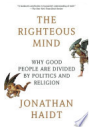
Elizabeth S. Anderson

2017 | Princeton University Press

[18] "Private Government: How Employers Rule Our Lives (and Why We Don't Talk about It)"

Elizabeth S. Anderson

2017 | Princeton University Press | ISBN: 9781005004569



[19] "The Righteous Mind: Why Good People Are Divided by Politics and Religion"

Jonathan Haidt

2012 | Vintage | ISBN: 9780307907035

[20] "The Idea of Justice"

Amartya Sen

2009 | Harvard University Press

[21] "The President and the Parties: The Transformation of the American Party System since the New Deal"

Sidney M. Milkis

1993 | Oxford University Press

[22] "Justice: What's the Right Thing to Do?"

Michael J. Sandel

2010 | Farrar, Straus and Giroux

[23] "The Constitution of Liberty"

Friedrich Hayek

2011 | University of Chicago Press

[24] "The Political Philosophy of Alexander Hamilton"

Michael P. Federici

2012 | Johns Hopkins University Press

[25] "The Constitution: An Introduction"

Michael Stokes Paulsen, Luke Paulsen

2015 | Basic Books

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] "Grounding Human Rights in Political Conceptions"

Bosko Tripkovic

2022 | Journal of Ethics and Social Philosophy

Google Scholar

[2] "Gender and the Constitution"

Ruth Bader Ginsburg

1975 | University of Cincinnati Law Review

Google Scholar

[3] "The Need for the Equal Rights Amendment"

Ruth Bader Ginsburg

1973 | American Bar Association Journal

Google Scholar

[4] "The Higher Law Background of the Privileges or Immunities Clause of the Fourteenth Amendment"

Clarence Thomas

1989 | Harvard Journal of Law & Public Policy

Google Scholar

[5] "Towards a 'Plain Reading' of the Constitution-The Declaration of Independence in Constitutional Interpretation"

Clarence Thomas

1987 | Howard Law Journal

Google Scholar

[6] "The Relevance of Philosophy in Shaping Contemporary Social Ethics"

Jakoep Ezra Harianto

2025 | International Journal for Science Review

Google Scholar

[7] "The Study of Administration"

Woodrow Wilson

1887 | Political Science Quarterly | DOI: 10.2307/2139277

Google Scholar

[8] **"Court-packing and democratic decay: A necessary relationship?"**
Aníbal Pérez-Liñán, Andrea Castagnola
2023 | Global Constitutionalism
Google Scholar

[9] **"The Rule of Law as a Law of Rules"**
Antonin Scalia
1989 | University of Chicago Law Review | DOI: 10.2307/1599826
Google Scholar

[10] **"Originalism: The Lesser Evil"**
Antonin Scalia
1989 | University of Cincinnati Law Review
Google Scholar

[11] **"The Rule of Law and the Separation of Powers"**
Jeremy Waldron
2016 | Harvard Journal of Law & Public Policy
Google Scholar

[12] **"Federalist No. 78: The Judiciary Department"**
Alexander Hamilton
1788 | The Independent Journal
Google Scholar

[13] **"Bureaucracy and Distrust: Landis, Jaffe, and Kagan on the Administrative State"**
Gillian E. Metzger
2017 | Harvard Law Review
Google Scholar

[14] **"Making War"**
Robert J. Delahunty, John Yoo
2007 | Cornell Law Review | DOI: 10.2139/ssrn.982363
Google Scholar

[15] "Paper Charter: Self-Defense and the Failure of the United Nations Collective Security System"

Robert J. Delahunty

2007 | Catholic University Law Review

Google Scholar

[16] "The Administrative State and the Rule of Law"

Philip Hamburger

2017 | George Washington Law Review

Google Scholar

Tekst opracowany z udziałem sztucznej inteligencji.
Redakcja i kontrola merytoryczna: Fundacja Dobre Państwo.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 212563af-956d-454f-b0e0-803b94c557dd